

Susan Crosby

On chce się żenić!

Rozdział 1

– Faul! – zawołał sędzia.

O jedną zepsutą piłkę mniej. Stojący na pozycji stopera Jack Stone odetchnął z ulgą. Co ja tu właściwie robię? zastanawiał się w duchu. Ach, prawda, przechodzę kryzys wieku średniego.

– No tak – mruknął pod nosem, patrząc na rzucającego piłkę miotacza.

Tym razem piłka leciała prosto na Jacka. Żeby ją tylko złapać, modlił się w duchu. Inaczej ta pyskata baba znów...

Piłka odbiła się od ziemi, po czym jakimś cudem wylądowała wprost w rękawicy Jacka. Przyglądał się białej kuli, wciąż jeszcze nie wierząc we własne szczęście, dopóki nie usłyszał, jak jeden z graczy wrzeszczy, żeby ją rzucić na pierwszą bazę.

Jack zamierzył się, rzucił... O dwa metry dalej, niż należało.

– Ty, Ogonek, może ci dać mapę? – zawołała siedząca na trybunach kobieta.

Stadion nie był duży. W sam raz dla amatorskich drużyn złożonych z ludzi, którzy w wolnym czasie chcieli się trochę poruszać.

Związane gumką drugie włosy, które Jack nosił od tylu lat, nagle zaczęły mu przeszkadzać. Wziął się jednak w garść. Ta ładna, pyskata baba nie mogła go skłonić do obcięcia z takim trudem wyhodowanych włosów.

Ten koński ogon był dla niego symbolem niezależności. Miał także przypominać o konieczności bycia cierpliwym. Nie miał zamiaru poświęcać go dla nikogo. Tym bardziej że po ponad dwudziestoletniej przerwie dopiero po raz piąty grał w baseball. Jako siedemnastolatek musiał zastępować ojca i matkę swemu siedmioletniemu wówczas bratu. Nie miał więc czasu ani na gry, ani na zabawy, ale teraz postanowił wreszcie zmienić swoje życie. Gdyby nie ta pyskata baba...

– Trzecie uderzenie! Schodzisz z boiska! – zawołał sędzia, kończąc zmianę i przerywając niewesołe rozmyślenia Jacka.

– Przepraszam – powiedział Jack do Scotta Lansinga, który stał na pierwszej bazie, kiedy razem schodzili z boiska.

– Nic się nie stało – pocieszył go Scott. – I tak nie udało się im zdobyć punktu. Ta kobieta chyba trochę cię denerwuje, co?

– A coś ty myślał? Nie mam pojęcia, dlaczego właśnie mnie sobie wybrała, chociaż muszę przyznać, że ma sporo racji. Stacy obiecała, że spróbuje z nią porozmawiać.

Mickey Morrison obserwowała mężczyznę, którego nazywała Ogonkiem. Pochyliła ramiona, myślała, patrząc, jak wywija kijem. Zsunęła daszek czapki z napisem: L. A. Seagulls jeszcze bardziej na czoło, obiema dłońmi chwyciła brzeg drewnianej ławki, skoncentrowana, jakby to ona miała zaraz odbić piłkę.

– Pierwsze uderzenie!

– Otwórz oczy, Ogonek! – wrzasnęła Mickey. – Musisz mieć oczy otwarte!

– Drugie uderzenie!

Piłka przeleciała o jakieś pół kilometra od jego kija. Mickey westchnęła zrezygnowana. Uważała, że ten mężczyzna ma w sobie wielki potencjał. Obserwowała go od kilku tygodni. Z początku był zupełnie zielony, wszystko robił źle, ale ostatnio poczynił ogromne postępy. W poprzedniej zmianie tak wspaniale złapał piłkę. Gdyby tylko zechciał się skupić na tej, którą do niego rzucono...

Trafił! Mickey aż podskoczyła z uciechy. Naprawdę trafił!

– Szybciej, Ogonek! – zawołała.

Jack dobiegł do pierwszej bazy i był już blisko drugiej, kiedy zawodnik drużyny przeciwnej chwycił piłkę i rzucił ją na środek pola.

– Ślizg) Ślizg! – krzyczała Mickey.

Po chwili nad boiskiem uniosła się ogromna chmura kurzu. Kiedy opadła, Mickey zobaczyła swego faworyta leżącego na ziemi. Palcami dotykał linii oznaczającej drugą bazę.

– Aut! – zawołał sędzia.

Kibice przeciwników wyli z radości. Mężczyzna podniósł się powoli i otrzepał z piasku.

– Hej, Ogonek! Prawdziwy gracz robi ślizg nogami do przodu!

Tym razem chyba jednak za daleko się posunęła. Mężczyzna zdjął czapkę, otrzepał ją o kolano i spojrzał na Mickey tak, jakby ją chciał przejrzeć na wylot. Potem podszedł do trybun.

– Dlaczego? – zapytał. Stał teraz nie dalej niż dwa metry od niej.

– Co: dlaczego? – zapytała, czując, jak jej serce mocno bije.

– Dlaczego powinienem robić ślizg nogami do przodu? Mickey trochę się uspokoiła. Bała się, że będzie musiała tłumaczyć, dlaczego właśnie do niego się przyczepiła, a przecież sama nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

– Bo jak będziesz się ślizgał inaczej, to zniszczysz sobie ręce. Albo je obetrzesz, albo ktoś ci na nie nadepnie.

Mężczyzna ujął się pod boki, podniósł głowę do góry, jakby zastanawiał się nad

tym, co powiedziała. Zauważyła, że ma niebieskie oczy.

– Czy oprócz krytykowania potrafisz także uczyć? – zapytał w końcu, patrząc na Mickey przenikliwie.

– Nie rozumiem.

– Potrafisz mnie nauczyć, jak się ślizgać?

– No, chyba... – Mickey nie była przygotowana na takie pytanie.

– W poniedziałek o szóstej na tym stadionie. Zgoda?

– Koledzy też cię mogą tego nauczyć...

– Ale ja proszę ciebie.

– Piłka w grze! – zawołał sędzia.

– W poniedziałek o szóstej – powtórzył. Najwyraźniej przywykł do wydawania poleceń. – Tylko nie nawal.

Mickey widziała, jak pobiegł do ławki dla zawodników. Powiedział coś do kolegi, który wybuchnął śmiechem.

Ani myślę go słuchać, postanowiła bojowo nastawiona Mickey. Nie muszę się dla nikogo poświęcać. Ale jeśli nie pojawię się w poniedziałek, to nie będę mogła chodzić na mecze. A ja chcę. Muszę. Od lat nie czułam się tak dobrze. Od dwóch lat.

– Cześć!

Mickey odwróciła głowę, ciekawa, kto ją pozdrawia. Nie miała tu żadnych znajomych oprócz pewnej kobiety, z którą rozmawiała przez chwilę podczas pierwszego meczu, jaki w tym mieście oglądała. Ta młoda kobieta zaofiarowała się przekazać graczom uwagi, jakie Mickey robiła podczas meczu. To była właśnie ona.

– Cześć – odpowiedziała uprzejmie Mickey.

– Mam na imię Stacy. A ty?

– Nikt nie musi wiedzieć, jak mam na imię – mruknęła Mickey. Typowo kobiece imię jak ulał pasowało do tej młodej osoby o długich, jedwabistych włosach, zawsze (przynajmniej podczas meczu) noszącej powiewne, kwieciste sukienki.

– To jakaś tajemnica? – zapytała trochę zdziwiona Stacy.

Owszem, tajemnica, pomyślała Mickey. Muszę zostać sama. Muszę w samotności znaleźć swoje szczęście. Wstała, fachowym okiem spojrzała na boisko, po czym zwróciła się do Stacy.

– Powiedz Ogonkowi...

– On ma na imię...

– Nie chcę znać jego imienia – przerwała jej Mickey. – Powiedz mu tylko, żeby na poniedziałek ubrał się w jakieś luźne spodnie dresowe.

– Tylko tyle? – dopytywał się Jack, usiłując przekrzyczeć harmider panujący w pizzerii Chung Li. – Dowiedziałaś się od niej tylko, że ona chce, żebym włożył spodnie od dresu?

– Nie jestem adwokatem i nie mam wprawy w wypytywaniu ludzi – broniła się Stacy. – Ta osoba najwyraźniej nie chce się z nikim zaprzyjaźnić.

– A możesz przynajmniej powiedzieć, ile ma lat? – nie ustępował Jack.

– Około trzydziestki. Tak mi się wydaje.

– Nosi obrączkę?

– Nie. – Stacy się uśmiechnęła.

– Naciąga na czoło tę swoją czapkę baseballową, jakby to była przyłbica – mruzczał Jack.

– Chcesz wiedzieć, czy jest ładna?

Jack popatrzył na Stacy badawczo, a po chwili się do niej uśmiechnął.

– Rozgryzłaś mnie – westchnął. – Chciałbym wiedzieć o niej wszystko.

– Zawsze ma na nosie okulary przeciwsłoneczne, ale zdaje mi się, że jest dość atrakcyjna. – Stacy uśmiechała się przekornie. – Tyle że ubiera się jak chłopak.

– Strasznie cię to wszystko bawi, Stace – zirytował się Jack.

– Bo po raz pierwszy, odkąd się znamy, coś nie idzie po twojej myśli. Przez wszystkie lata naszego małżeństwa ani razu się nie zdarzyło, żebyś nie panował nad sytuacją. Bywałeś zniecierpliwiony, owszem, ale potrafiłeś zawsze postawić na swoim. Chociaż, muszę przyznać, że nieczęsto cię widywałam. No cóż, jeśli ma się do czynienia z pracoholikiem...

– Staram się zmienić – mruknął Jack.

– Widzę. No dobrze, mogę ci jeszcze powiedzieć, że ma bardzo krótkie, jasne włosy, a zęby białe i równe...

– Stacy – zdenerwował się Jack.

– Staralam się, jak mogłam – broniła się Stacy.

– A wiesz może, dlaczego właśnie do mnie się przyczepiła?

– Nie mam pojęcia. Może jej się spodobałeś.

– Masz szczególne poczucie humoru, Stace – mruknął Jack.

– Facet, który ma sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i siedemdziesiąt pięć kilogramów wagi, każdą babę rzuci na kolana.

– Ona ma jakieś metr siedemdziesiąt pięć. Idealna różnica. W łóżku i w ogóle...

- Nie mam ochoty iść z nią do łóżka – obruszył się Jack.
- Naprawdę?
- Po prostu jestem ciekaw, kim jest ta kobieta. Poza tym wiesz chyba, że nie lubię pytań bez odpowiedzi.
- Zainteresowała cię! Nigdy żadna kobieta tak źle cię nie traktowała i dlatego jesteś ciekaw, kim ona jest.
- Może i masz rację – westchnął Jack.
- Musimy zwolnić opiekunkę – wtrącił się do rozmowy Drew, mąż Stacy. – Powodzenia w poniedziałek.
- Dzięki. Ucałuj ode mnie Dani.

Mickey bardzo długo się zastanawiała, zanim postanowiła wynająć ten domek. Po pierwsze, miasteczko Gold Creek, w którym się znajdował, było odległe zaledwie o czterdzieści pięć minut jazdy od college'u, gdzie Mickey miała od września uczyć matematyki. Samo miasteczko było na tyle duże, żeby zapewnić jej anonimowość, a jednocześnie na tyle małe, aby mogła się tam dobrze czuć.

Kolejną zaletą tego miejsca był płynący o jakieś pięćdziesiąt metrów od domku strumień. Można było w nim łowić ryby albo po prostu, siedząc nad wartko płynącą wodą, cieszyć się bliskością natury. Mickey całe trzydzieści dwa lata swego życia przeżyła w mieście, toteż mieszkanie na pustkowiu potraktowała jako swoiste wyzwanie. Nie dochodziły tu odgłosy miasta. Nie było nawet słychać bawiących się na podwórku dzieci. Jedynym jej sąsiadem był właściciel posiadłości, który mieszkał w ogromnym domu z bali, znajdującym się zaledwie kilka kroków od wynajętego przez Mickey domku dla gości.

Sam domek nie był duży. Składał się właściwie z jednego wielkiego pokoju, z umieszczonym na podeście ogromnym łóżkiem. Poza tym było tam jeszcze kilka pomieszczeń gospodarczych i dużych szaf. Wszystko wykończono jasnym, sosnowym drewnem. Mickey nie mogła się już doczekać zimy, kiedy będzie można rozpalić ogień w kominku.

Ale tym, co przesądziło o wynajęciu przez nią tego właśnie domku, było usytuowane przy samym oknie ogromne siedzisko, czyli wielki, wyściełany parapet okna, z którego rozciągał się widok na strumień i porastający zbocza gór sosnowy las. Samo zaś okno należałoby raczej zaliczyć do kategorii oszklonych ścian. Było półokrągłe, zaczynało się jakieś dwadzieścia centymetrów nad podłogą, a kończyło na wysokości prawie czterech metrów, pod samym sufitem. Tam właśnie Mickey przygotowywała się do lekcji, pisała listy, snuła marzenia, uciekała przed sennymi

koszmarami i żyła pełnią swej samotności.

Po powrocie ze stadionu także umościła się pomiędzy poduszkami na tym cudownym siedzisku. Patrzyła na zachodzące na sierpniowym niebie słońce i zastanawiała się, co zrobić z poniedziałkowym spotkaniem. Nie chciała się w nic angażować i poznawać nowych ludzi. Po raz pierwszy w życiu pragnęła odpowiadać wyłącznie sama za siebie.

Straciła prawie wszystko. Musiała mieć spokój, aby swobodnie rozpaczać w samotności. Musiała także podjąć próbę wybaczenia sobie i polubienia samej siebie na nowo.

Zamknęła powieki. Oczami wyobraźni znów ujrzała wysportowaną sylwetkę mężczyzny z końskim ogonem. Nie chciała mieć z tym człowiekiem nic wspólnego, nie wiedziała jednak, w jaki sposób zatrzymać maszynę, którą nieopatrznie sama uruchomiła.

Rozdział 2

Jack raz jeszcze spojrział na zegarek. Było dziesięć po szóstej. Jego męska duma została wystawiona na ciężką próbę. No cóż, pomyślał, tym razem chyba jednak się pomyliłem. Zdawało mi się, że ta kobieta jest odważna, że naprawdę chce mi pomóc i że, w pewnym sensie, jest mną zainteresowana.

Przez ostatnie cztery dni myślał właściwie tylko o niej. Jednak teraz, jedenaście minut po szóstej, zrozumiał, że się pomylił.

Zainwestował w tę lekcję i czas, i sporo pieniędzy. Kupił całkiem nowe spodnie treningowe, nowe buty i rękawice baseballowe, a ona po prostu nie przyszła.

Jack przykucnął przy pierwszej bazie, a raczej w tym miejscu, w którym znajdowałyby się pierwsza baza, gdyby toczył się mecz. Zastanawiał się, jak długo jeszcze powinien czekać.

W tej samej chwili wylądowała obok niego ciężka biała poducha z przymocowaną do niej rurką.

– Umocuj to na drugiej bazie – rozległ się znajomy głos. – Bez bazy nie można trenować.

Jackowi wyraźnie ulżyło na dźwięk tego głosu, choć za nic na świecie by się do tego nie przyznał. Umocował poduchę tam, gdzie mu kazała nieznajoma, i wrócił do pierwszej bazy.

– Już myślałem, że nie przyjdiesz! – zawołał w stronę barierki, o którą kobieta się opierała. Najwyraźniej nie miała zamiaru podejść do niego ani odrobinę bliżej.

– Mało brakowało – przyznała. – Jednak doszłam do wniosku, że twojej drużynie dobrze grający zawodnik może się przydać.

– A więc robisz to dla drużyny, a nie dla mnie?

– Dla baseballu, Ogonku. Dla baseballu.

– Rozumiem. – Jack zaśmiał się cicho. – Dramatycznie zaniżam poziom.

– Uważam, że możesz być lepszy. Inaczej nie zawracałabym sobie tobą głowy.

Jack zbliżył się do niej. Zauważył, że tajemnicza nieznajoma coraz mocniej nasuwa czapkę na czoło. Zatrzymał się dopiero wtedy, kiedy poruszyła się niespokojnie, jakby miała zamiar uciec.

– Nie mogę cię wciąż nazywać pyskątą babą. Jak ci na imię? – zapytał.

– Możesz mnie nazywać trenerem – mruknęła.

– Tego się właśnie spodziewałem – westchnął Jack.

– No to jak, Ogonku? Bierzesz się do roboty?

– Mam wrażenie, że będę tego żałował – mówił do siebie Jack, podchodząc do pierwszej bazy.

– Najpierw przejdź na pole zewnętrzne – powiedziała kobieta. – Wolę, żebyś poćwiczył na trawie. Jak będę miała pewność, że nie zabijesz się podczas ślizgu, pozwolę ci poćwiczyć na boisku.

– Chcesz tam stać i mówić mi, co mam robić? – zawołał Jack, wbiegając na trawiastą część boiska.

– Oczywiście.

– Skąd mam wiedzieć, że potrafisz być dobrą trenerką, skoro nie chcesz mi niczego zademonstrować?

– Nie każdy trener był mistrzem olimpijskim. – Szła wokół boiska, równoległe do Jacka, zatrzymując się za każdym razem, kiedy on się zatrzymywał. – Zamknij oczy i wyobraź sobie to, o czym ci zaraz opowiem. Przeanalizuj wszystkie fazy. Jeśli czegoś nie zrozumiesz, powtórzmy. I tak do skutku. Możesz zadawać pytania. Jasne?

Jack zamknął oczy.

– Chcesz sprawdzić, czy potrafisz dotknąć palcem nosa? – zapytał.

– Chyba masz coś wspólnego z prawem – westchnęła głośno i dramatycznie.

– Trafiałaś. Jestem adwokatem.

– A ja ci pozwoliłam zadawać pytania – jęknęła. – Do jutra nie skończymy tego treningu.

– Musimy wyjść stąd najpóźniej za dziesięć siódma. – Jack uśmiechnął się do niej. – Potem zaczyna się mecz ligi.

– No to mamy pół godziny – Spojrzała na zegarek. – Zaczynamy. Zamknij oczy.

Tłumaczyła mu, co i jak ma robić, dokładnie przy tym wyjaśniając, dlaczego ma to robić właśnie tak, a nie inaczej. Potem kazała mu ćwiczyć ślizg na trawie, dopóki w końcu nie nauczył się poprawnie go wykonywać.

– Możesz ćwiczyć na boisku – orzekła wreszcie.

– Naprawdę? – zapytał, kierując się do pierwszej bazy, choć wszystkie mięśnie przeciwko temu protestowały. – Myślisz, że uda mi się to wyćwiczyć podczas jednej lekcji?

– Jasne. Musisz tylko pamiętać, co ci mówiłam.

Jack stał przez chwilę przy pierwszej bazie. Skoncentrował się, a potem puścił się pędem przez boisko. Kiedy Mickey krzyknęła „Teraz!” rzucił się do ślizgu. Jak długi padł na ziemię, dotykając dłońmi poduszki. Leżał i klął, aż wreszcie dotarł do

niego głos trenerki:

– Jeszcze raz.

– Nie mogę się ruszyć – mruknął.

– Nie marudź. Teraz przynajmniej wiesz, czego nie robić. Musisz podnieść nogę trochę wyżej.

Jack wstał, choć wcale nie miał na to ochoty. Wszystko go bolało.

– Skąd ty tyle wiesz o baseballu? – zapytał, biegnąc truchtem do pierwszej bazy.

– Ta gra to moje życie – powiedziała takim tonem, że Jack musiał się roześmiać. – Nieźle ci idzie.

– Bo potrafisz uczyć – odrzekł. Pochwała tej kobiety sprawiła, że poczuł przypływ energii.

– Dziękuję. Więc pracujesz w kancelarii adwokackiej?

– To nieuczciwe – zbuntował się Jack. – Nie odpowiem na żadne osobiste pytanie, jeśli ty nie powiesz mi czegoś o sobie.

– Założę się, że jesteś znakomitym pracownikiem.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Potrafisz pracować więcej niż przeciętny człowiek. Jesteś zadowolony dopiero wtedy, kiedy okazujesz się najlepszy.

Stali tak, patrząc na siebie, jakby połączyła ich jakaś niewidzialna nić. Jack odwrócił się dopiero wtedy, kiedy na stadion weszli jacyś ludzie.

– Spróbuję jeszcze dwa razy – powiedział. – Potem kończymy. Każda kolejna próba wydawała mu się łatwiejsza i efekty także były coraz lepsze. Po ostatnim ślizgu Jack wziął poduchę i podszedł do dziewczyny.

– Możesz ją sobie zatrzymać – powiedziała, kiedy chciał jej podać poduszkę. – Przyda ci się do ćwiczeń.

– Czy jeszcze kiedyś ze mną potrenujesz?

– Nie jestem ci już potrzebna.

– A przyjdiesz w czwartek na mecz?

– Raczej tak – odrzekła po chwili wahania. – Dam ci tylko jeszcze jedną radę.

– Słucham.

– Wymocz się porządnie w ciepłej wodzie i weź jakiś solidny lek przeciwbólowy, bo inaczej jutro nie będziesz się mógł ruszyć.

– Dzięki, na pewno tak zrobię.

Chciał zobaczyć jej oczy, które, w odróżnieniu od niej samej, na pewno nie kłamały, ale ona skrzątnie ukrywała je za lustrzanymi szklami okularów. Musiało

mu więc wystarczyć, że przyjrzał się jej sylwetce. Wcale nie była taka chłopięca. Po chwili poczuł, że ona także mu się przygląda.

Na stadionie było coraz więcej kibiców. Także na boisku pojawili się jacyś ludzie, ale Jack nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Nie mógł oderwać oczu od swojej trenerki. Zreflektował się dopiero wtedy, kiedy ktoś go potrącił.

– Do zobaczenia w czwartek, trenerze – powiedział, patrząc, jak biegnie po schodach i znika za koroną stadionu.

Do czwartku, powtórzył w myślach. Za trzy dni. Jak znam życie, to owe dni będą mi się okropnie dłużyć.

Jack siedział na ławce dla zawodników i spoglądał na trybuny. Nieznajoma przychodziła zwykle kwadrans po rozpoczęciu meczu. Prawdopodobnie chodziło o to, żeby, broń Boże, nikt się do niej przed meczem nie odezwał. Tym razem jednak mogła przyjść wcześniej, żeby sprawdzić, czy jej podopieczny zrobił postępy.

– Poznałeś już swojego sublokatora? – zapytał siedzący obok niego Drew, aktualny mąż byłej żony Jacka.

– Nie. Byłem w Chicago, kiedy się wprowadzał, ale zostawiłem kartkę z prośbą, żeby do mnie zadzwonił. Nie odezwał się, więc wczoraj sam do niego poszedłem, ale jego furgonetka zniknęła.

– Jak on się nazywa?

– Mickey Morrison. Będzie uczył matematyki w tutejszym college’u.

– Nie żałujesz, że wynająłeś ten domek?

– Dlaczego miałbym żałować? – Jack wzruszył ramionami. – Przydał się, kiedy remontowałem duży dom, ale teraz nie jest mi potrzebny.

– Dani jest zła, że odstąpiłeś komuś obcemu jej domek dla lalek, jak go nazywa.

– Czterolatki lubią mieć własne zdanie. – Jack uśmiechnął się na wspomnienie córeczki, która stanowczo oświadczyła, że ten domek będzie jej pokojem zabaw i że nie wolno go nikomu nawet na chwilę wypożyczyć.

– To nadzwyczajne dziecko, Jack. Wspaniale ją wychowaliście.

– Ty też się do tego przyczyniłeś.

– Chciałem ci podziękować, że pozwoliłeś jej nazywać mnie tatą – powiedział cicho Drew. – Dla mnie to bardzo ważne.

– Zdawało mi się, że bardzo jej na tym zależało. – Jack znów poczuł to niemiłe ukłucie w sercu, które zawsze wracało na wspomnienie tamtej rozmowy. – Tłumaczyła mi, że jak się już ten jej braciszek czy siostrzyczka urodzi, to pewnie będzie się dziwił, dlaczego starsza siostra nie mówi do ciebie „tato”. Do mnie

mówi „tatusiu”, więc jakaś różnica jednak pozostała.

– Dani jest bardzo wrażliwa na to, co czują inni. A przecież to jeszcze małe dziecko...

– Mój brat był taki sam. Boże, jak ja za nim tęsknię! Gdyby Dan żył...

– Nasze życie byłoby zupełnie inne – dokończył Drew. Jack wolał nie wracać do przeszłości. Znow, tym razem ostentacyjnie, zaczął się rozglądać po trybunach. Wreszcie zauważył swoją trenerkę. Właśnie siadała na jednym z wolnych miejsc. Pomachał jej ręką i ona także mu pomachała. Uradowany, że wypatrzyła go z daleka i że się do tego przyznała, Jack nabrał pewności siebie. Zakiełkowała w nim nadzieja na dokonanie w tym meczu czegoś wyjątkowego.

Mecz się rozpoczął. Jack jeden raz wybił piłkę na aut i zdobył jeden punkt dzięki błędowi zawodnika drużyny przeciwnej. Nie były to osiągnięcia, jakimi można by się pochwalić. Na domiar złego ani razu nie miał możliwości zademonstrowania ślizgu.

Dziewczyna siedziała spokojnie. Jak gdyby czuła, że Jack nie jest z siebie zadowolony. Tymczasem jemu bardzo brakowało jej zawadiackiego okrzyku: „Hej, Ogonku!”, po którym nieodmiennie następowała jakaś dobra rada.

Kiedy po skończonej grze ściskali sobie ręce z przeciwnikami, kątem oka zauważył, że jego trenerka zeszła ze schodków i podeszła do barierki. Jack zbliżył się do niej na tyle, żeby móc obserwować jej ruchy. Jak mało kto rozumiał mowę ciała i miał nadzieję, że wreszcie dowie się czegoś o tej tajemniczej kobiecie.

– Coraz lepiej ci idzie – pochwaliła go.

– Nie umiem odbijać piłki.

– Można nad tym popracować.

– Jeśli zgodzisz się mnie trenować, to ja się zgodzę zapomnieć o swojej męskiej dumie.

Patrzył na nią, gdy zastanawiała się nad odpowiedzią. Tamten poprzedni Jack byłby ją poganiał, ale ten nowy, ulepszony model, czekał cierpliwie.

– Przynies parę kijów i tyle piłek, ile tylko uda ci się pozbierać – powiedziała wreszcie.

– W poniedziałek o szóstej? – zapytał.

Chciał się dowiedzieć, dlaczego jest taka smutna. Zauważył, że zachowuje się jak człowiek, który poniósł życiową klęskę i musi się teraz pozbierać. Nie miał jednak odwagi o nic pytać.

– Nic ci nie jest, trenerze? – zapytał tylko.

Chcę, żeby mnie ktoś przytulił, pomyślała Mickey, wbijając dłonie w kieszenie

szortów. Jestem samotna i umieram na bezsenność. I strasznie się boję odgłosów, jakie rozlegają się w nocy w lesie.

– Co ci jest? – zapytał zaniepokojony Jack.

Mickey spojrzała na niego. Miał miłą twarz, taką z charakterem. Niebieskie oczy, w których widać było, że się o nią niepokoi, i usta, które z pewnością potrafiłyby wypowiedzieć uspokajające słowa i obsypać gorącymi pocałunkami. I jednego, i drugiego bardzo potrzebowała, choć żadnej z tych rzeczy nie śmiałyby przyjąć. Nawet gdyby dawali za darmo. Jack wydawał się jej uosobieniem siły i pewności siebie. Nie bał się ani ryzykować, ani przegrać. Mickey żałowała, że nie może się tego nauczyć tak samo łatwo, jak on nauczył się ślizgu.

– Nic mi nie jest, Ogonku. Myślałam tylko o tym ogłoszeniu, które wywiesili w barze niedaleko stąd. Potrzebują kogoś do pomocy. Może byś się tam najął, zamiast bez sensu uganiać się po boisku.

Jack odetchnął z ulgą. Pomyślał, że skoro znów sobie z niego kpi, to rzeczywiście wszystko jest z nią w porządku. Mickey była z siebie zadowolona. Udawanie szło jej coraz lepiej. Miała za sobą piekielny tydzień i strasznie tęskniła za rodziną. Oprócz lekcji z Jackiem i kilku uprzejmych słów zamienianych ze sprzedawcami, w ogóle do nikogo się nie odzywała. Z wyjątkiem psa. Rudy spaniel przybiegł do niej poprzedniego dnia, kiedy siedziała nad strumieniem. Położył jej łepkę na kolanach, pozwolił się podrapać za uchem, a potem polizał ją po policzku i uciekł.

– Idziemy do pizzerii Chung Li. Może byś z nami poszła? – zapytał Jack. Miał taką minę, jakby się bał, że ona zaraz zemdleje i trzeba ją będzie reanimować.

– Nie, dziękuję. Muszę wracać do domu. Do zobaczenia w poniedziałek.

– Oprzyj ciężar ciała na tej nodze, którą ustawiłeś z tyłu, i rozkołysz się trochę – pouczała go Mickey. – Potem...

– Wiem. Muszę opuścić ramiona i bacznie obserwować piłkę.

– Dokładnie. – Rzuciła piłkę, która upadła jakieś pół metra od Jacka.

– Chciałaś sprawdzić, czy uważam? – zapytał kpiąco.

– Trochę mi zesztyniały mięśnie – powiedziała przepraszająco, z trudem powstrzymując uśmiech.

Do wszystkiego, co ją w tym mężczyźnie pociągało, musiała jeszcze dodać poczucie humoru. Nie mogła się doczekać tego poniedziałku, a to już było groźne dla celu, który przed sobą postawiła. Miała przecież nauczyć się na nikogo nie liczyć i na nikim nie polegać. Miała się stać niezależnym, wolnym człowiekiem.

Dlatego wyjechała z rodzinnego miasta, opuściła dom. Tymczasem zachciało jej się zaufać temu obcemu człowiekowi, w którym odgadywała mocny charakter, wybujałą seksualność i dar pocieszania skrzywdzonych.

– Dobrze wiedzieć, że nie jesteś doskonała.

Rzuciła następną piłkę, a Jack natychmiast ją odbił. Tylko trochę za wysoko.

W ciągu półgodzinnego treningu jej podopieczny poczynił znaczne postępy. Przede wszystkim poprawił postawę i nauczył się koncentrować na lecącej do niego piłce.

– W czwartek będzie ostatni mecz tego sezonu – powiedział Jack, kiedy zbierali porozrzucane po całym boisku piłki.

– Tak wcześnie? – zdziwiła się Mickey.

No i co ja teraz zrobię? pomyślała. Kiedy znów cię zobaczę?

– Miasteczko nie jest duże, a i tak utrzymuje aż pięć drużyn. Gramy po dwa mecze każdy z każdym i na tym koniec.

– Ty chyba wcześniej nie grałeś w baseball.

– Jak na to wpadłeś, Sherlocku? – zakpił Jack. Podsunął jej worek, żeby mogła do niego wrzucić pozbierane piłki. Niektóre potoczyły się z powrotem na ziemię. Oboje jednocześnie przykucnęli. Niemal zderzyli się głowami, a ich dłonie spotkały się na tej samej piłce. Mickey usiłowała cofnąć rękę, ale Jack ją przytrzymał.

– Jak masz na imię? – zapytał. Potrząsnęła głową i wyrwała się z jego uścisku.

– Dlaczego nie chcesz powiedzieć?

– Ja... Przechodzę teraz coś w rodzaju metamorfozy. Muszę sobie z tym sama poradzić. – Zrobiła krok do tyłu, jakby się obawiała, że on się zaraz na nią rzuci.

Jack potrafił rozpoznawać strach. Wbrew własnej woli postanowił, że musi się dowiedzieć, czego ona tak bardzo się boi, i przepędzić te jej strachy na cztery wiatry. Nie rozumiał, jak to się stało, że osoba, o której zupełnie nic nie wiedział, tak szybko stała się dla niego kimś ważnym, ani dlaczego tak bardzo mu zależało na tym, żeby była szczęśliwa. Myślał o niej bez przerwy. Nie mógł się nawet skoncentrować na pracy, choć termin ukończenia podręcznika, nad którym pracował, zbliżał się nieuchronnie.

– Nie potrzebujesz czasem przyjaciela? – zapytał, zanim zdążyła uciec.

– Muszę się najpierw sama ze sobą zaprzyjaźnić – powiedziała cicho.

Jackowi w jednej chwili przyszło do głowy tysiące pytań. Chciał wiedzieć, od czego uciekła, czego się boi, ale przede wszystkim pragnął zapytać, w jaki sposób mógłby jej pomóc.

– Kiedy skończą się mecze, znikniesz z mojego życia – powiedział. – To wielka szkoda.

– Dlaczego?

– Chyba jednak coś nas łączy. To ty mnie wybrałaś z tłumu, choć nic o mnie nie wiedziałaś. To, co do mnie krzyczałaś, niejednego faceta wyprowadziłoby z równowagi. Skąd wiedziałaś, że ja się nie załamie? Albo cię nie uduszę?

– Może sprawił to twój sposób bycia, uśmiech. Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami, jakby nigdy przedtem się nad tym nie zastanawiała. – Jesteś bardzo opanowany. Koledzy z drużyny dawali ci popalić, a ty się tylko śmiałeś. – Naciągnęła na oczy daszek swojej czapki. – Muszę iść. Do zobaczenia we czwartek.

Wbiegła na schody, ale w połowie drogi jeszcze się odwróciła.

– Całkiem nieźle sobie dziś radziłeś! – zawołała.

– Sam bym tego nie dokonał. Dziękuję.

Jack miał ochotę pobiec za nią, zedrzeć z niej tę przeklętą czapeczkę i lustrzane okulary, zmusić, żeby spojrzała mu w oczy, i powiedziała, jak można jej pomóc. Od kilku lat starał się zachowywać bardziej spontanicznie. Odkrył przy tym paradoksalną zasadę, że spontaniczne zachowania czasami należy sobie dokładnie zaplanować. Postanowił więc zaplanować sobie jakieś spontaniczne zachowanie. Na czwartek.

Właśnie zaczęła się piąta zmiana. Jack, tym razem jako trzeci, miał odbijać piłkę. Pierwsza z nich wzbija się w powietrze, ale on nawet się nie poruszył.

– Dobrze, Ogonku! – usłyszał znajome wołanie. – Czekaj na swoją piłkę.

Mickey zauważyła, że siedzący wokół ludzie uśmiechają się do niej przyjaźnie. Jak na osobę, która za wszelką cenę chciała zachować anonimowość, była w tym mieście całkiem dobrze znana. Właściwie sama nie rozumiała, jak mogła przypuszczać, że uda jej się siedzieć cicho, schować się między ludźmi. Zawsze musiała się do wszystkiego wtrącić, więc oczywiste było, że i tym razem tak się stanie.

Jack wziął w dłonie garść ziemi, wtarł pot i znów stanął na swoim miejscu.

Piłka odbiła się, wzleciała w powietrze i wpadła między dwóch zawodników drużyny przeciwnej. Na trybunach zawrzało. Mickey wiedziała, że w ogólnym wrzasku Jack nie usłyszy jej dobrych rad, ale nie mogła się powstrzymać.

Pędził jak szalony. Minął drugą bazę, trzecią i biegł do początkowej, kiedy piłkę rzucono do przeciwnika pilnującego drugiej bazy.

– Ślizg! – wrzeszczała Mickey przez złożone w trąbkę dłonie. – Ślizg!

Jack wykonał klasyczny ślizg i dopadł do bazy w tej samej chwili, w której piłka wylądowała w rękawicy przeciwnika.

– Zaliczone! – oznajmił sędzia.

Koledzy z drużyny podbiegli do leżącego wciąż na ziemi Jacka. Gratulowali mu jeden przez drugiego, zdziwieni wspaniałym popisem. Ale Jack słyszał tylko wyższy od męskich głosów krzyk tajemniczej trenerki:

– Świetnie, Ogonku! Udało ci się! Wreszcie ci się udało! Ktoś mu podał rękę i pomógł wstać. Koledzy otoczyli go kołem, poklepując po plecach i chwając bez końca. On jednak wyrwał się z grupy i podbiegł do trybun, a dokładnie do miejsca, w którym siedziała współautorka jego sukcesu. Wbiegł na schodki i stanął tuż przed nią. Zaskoczył ją. Ostrożnie podniósł baseballową czapkę, odwrócił ją daszkiem do tyłu. Zdjął jej okulary i podał komuś, kto siedział najbliżej. Położył dłonie na jej ramionach. Skurczyła się w sobie, jakby miała ochotę uciec. Wreszcie mógł spojrzeć jej w oczy. Były brązowe.

– Wygrałem mnóstwo spraw w różnych sądach – powiedział Jack – ale żadne z tamtych zwycięstw nie dało mi tyle radości, co to dzisiejsze. Dziękuję. Bez ciebie nigdy by mi się to nie udało.

Powiedziawszy to, pochylił się i pocałował ją w usta. Sam się zdziwił, kiedy to, co sobie zaplanował jako przyjacielski pocałunek, przekształciło się w coś zupełnie innego. Minęło chyba z pięć sekund, zanim zdołał się wreszcie oderwać od jej słodkich ust. Dyszał ciężko, jak po biegu przez wszystkie cztery bazy.

Mickey dopiero teraz otworzyła oczy. Jack był tak samo jak ona zaskoczony tym, co się przed chwilą stało. Natychmiast zrozumiała, że to jedyna okazja, że to, co teraz przeżyje, będzie jej musiało wystarczyć na długo. Chwyła Jacka za koszulkę i przyciągnęła do siebie.

Znajomy zapach potu, kurzu i skóry rękawic sprawił, że poczuła się tak, jakby znów była dziewczynką, jakby czas się cofnął do szczęśliwych dni dzieciństwa. Przeniosła się myślami na obóz treningowy L. A. Seagulls, pierwszoligowej drużyny, którą od lat trenował jej ojciec. Wszystko było tak dobrze znane, bezpieczne, takie jak w domu...

– Nie ma za co – mruknęła. Stała na palcach, zarzuciła Jackowi ręce na szyję i także go pocałowała. Nic ją nie obchodziły śmiechy, gwizdy i docinki otaczających ją ludzi.

Przez dwa lata była żywym trupem. Teraz miała obok siebie przynajmniej tego mocnego i miłego mężczyznę. Nieważne, że tylko na chwilę, że pewnie nigdy

więcej go nie zobaczy. Nie martwiła się tym, że ludzie na nich patrzą. Była tylko ona i on. Nic poza nimi nie istniało.

Ale jeden, tylko jeden, cienki dziecięcy głosik usłyszała:

– Mamusiu, dlaczego ta pani całuje mojego tatusia?

Rozdział 3

Mickey poczuła się tak, jakby wylano na nią kubeł, nie, co najmniej cztery kubły lodowatej wody.

– Bądź cicho, Dani – skarciła ją kobieta.

To była Stacy. Siedziała obok małej dziewczynki ubranej w kwiecistą sukienkę, taką samą, jaką nosiła jej matka. Dziecko miało długie, brązowe włosy matki i ciemnoniebieskie oczy jak... Ogonek. Jej ojciec.

A więc on jest mężem Stacy, pomyślała przerażona Mickey. Oni są rodziną. A ja go pocałowałam! Wiem, że miał to być tylko przyjacielski pocałunek, tylko tak się jakoś porobiło... Ale przecież nie ja pierwsza zaczęłam. Mógł tego nie robić!

Mickey chwyciła swoje okulary i wskoczyła na ławkę. Potem na następną i jeszcze następną. Nie przypuszczała, że przebiegnięcie widowni małego stadionu może trwać tak długo.

Zdumiony Jack patrzył w ślad za nią. Kilka sekund zajęło mu zrozumienie przedziwnego wyrazu jej twarzy. Kiedy wreszcie pojął, o co chodzi, popędził za nią jak szalony.

– Zaczekaj! – zawołał. Miał dłuższe nogi, ale Mickey uciekała tak szybko, jakby ją sam diabeł gonił. Jeśli chciał coś wskórać, musiał zrezygnować z tłumaczenia się przed nią w cztery oczy.

– Nie jestem żonaty! – wrzeszczał przez cały stadion. – Jesteśmy po rozwodzie.

Mickey dopadła korony stadionu. Już miał ją pochwycić, kiedy potknął się o stopień i jak długi zwałił się na schody.

– Jack! – krzyknęła. W chwilę po tym klęczała obok niego.

– Wiesz, jak mam na imię? – zdziwił się Jack, pomimo przeszywającego mu nogę dojmującego bólu.

– Pewnie, że wiem – prychnęła zniecierpliwiona. – Już od paru tygodni siedzę na widowni, więc choćbym nawet nie chciała, muszę wiedzieć, jak masz na imię. Co ci się stało?

– Chyba skręciłem nogę w kostce. Prawą.

Wokół nich zaczął się gromadzić spory tłumek. Stojący na pierwszej bazie Scott ukląkł obok Jacka i Mickey chciała się cofnąć.

– Nie odchodź. – Jack chwycił ją za rękę. – Muszę z tobą porozmawiać. To nieporozumienie.

– Co się stało? – Scott wprawnymi palcami obmacał nogę Jacka.

- Spadaj – warknął Jack. – Najpierw muszę porozmawiać z moim trenerem.
- Noga może być złamana – ostrzegł go Scott. – Trzeba cię zawieźć do szpitala.
- Pięć minut mnie nie zbawi. Odsuń się, Scott, dobrze? Trenerze?
- Naprawdę jestem z ciebie dumna, Ogonku. – Pochyliła się nad nim z poważnym wyrazem twarzy. – Doskonale się spisałeś.
- Nie nazywaj mnie Ogonkiem. Mam na imię Jack.
- Niech będzie... – zawahała się. – Jack.
- Teraz mi powiedz, jak masz na imię.
- Trener. Już ci mówiłam.
- I pewnie nigdy więcej cię nie zobaczę? – zapytał, choć doskonale znał odpowiedź na to pytanie.
- Nie wiem. To nie jest duże miasto.
- Rozumiem. Możemy się spotkać przypadkiem, ale żadnej bliższej znajomości?
- Tak musi być – szepnęła. – Przykro mi, nie da się tego zmienić.
- Ścisnął jej dłoń. Przymknął oczy. Ból rozlewał się po całym ciele. Jack nie wiedział, co go bardziej bolało: noga, czy też perspektywa rozstania z tą dziwną kobietą.
- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek czuł coś podobnego podczas pocałunku, a ty... Ty sama chciałaś więcej.
- Tak mi przykro – powtórzyła bezradnie. Jack zrozumiał, że nie chodziło jej tylko o pocałunek.
- Jedźmy już! – Scott znów przy nim ukląkł.
- Stacy mnie zawiezie. Ty wracaj na boisko. – Jack spróbował się podnieść. Syknął z bólu.
- Kto tu właściwie jest lekarzem? Ja czy ty? – obruszył się Scott.
- Jack spojrzał na niego szczerze zdziwiony.
- Pewnie cię to zdziwi, ale ginekolog ma prawo opiekować się pacjentem ze złamaną nogą.
- Ja z nim pojedę – zaofiarował się Drew. – Ty wracaj do gry, Scotty.
- Nieźle się zaczyna – mruknął Jack. – A jak nie będę płakał, to dostanę lizaka?
- Dzięki takim pacjentom jak ty zdecydowałem się na specjalizację z pediatrii.
- Drew pogroził Jackowi palcem.
- Jack zauważył, że stojąca za plecami Drew kobieta z trudem powstrzymuje się od śmiechu.
- Nie waż się ze mnie śmiać, trenerze – ostrzegł ją. Podniosła ręce do góry,

jakby się poddawała, i pokręciła głową, choć drżące kąciki ust świadczyły o tym, że naprawdę miała ochotę się roześmiać.

– Jeżeli dwóch zejdzie z boiska, to przegramy mecz. – Jack zwrócił się do kolegów. – Jeśli tylko mnie zabraknie, to gra będzie nadal zgodna z przepisami. Fajnie byłoby mieć choć jeden wygrany mecz.

– Jeden z twoich zaprzyjaźnionych lekarzy na pewno będzie ci towarzyszył – oświadczył nie znoszącym sprzeciwu tonem Scott. – Możesz sobie wybrać, którego wolisz.

– Zagrasz za mnie? – zapytał Jack swoją trenerkę.

– Ja?

– Chyba umiesz grać?

– Pewnie, że umiem, ale bardzo dawno nie grałam i... Sędzia ogłosił, że jeśli za dwie minuty nie rozpoczną meczu, to drużyna Jacka przegra walkowerem. Wszyscy trzej spojrzeli na tajemniczą kobietę.

– Nie mogę grać – oświadczyła stanowczo. – To męska liga, więc gdybym weszła na boisko, zostalibyście zdyskwalifikowani.

– To prawda? – Jack zwrócił się do Scotta.

– Na pewno nie wiem, ale przypuszczam, że ona ma rację.

– Mam lepszy pomysł – powiedziała. – Najprościej będzie, jeśli ja go zawiozę do szpitala. W końcu to wszystko przeze mnie. Nie mam tu samochodu, ale może któryś z was zechce mi pożyczyć swój.

– Pojedziemy moim! – zawołał Jack.

Zanim odjechali, Scott zadzwonił do szpitala i uprzedził, że za chwilę przyjedzie tam jego przyjaciel ze złamaną nogą. Dwóch widzów zaniósło Jacka na parking i usadziło w jego własnym samochodzie.

– Wiesz, jak dojechać do szpitala? – zapytał Jack.

– Nie bardzo – odrzekła.

Teraz już Jack był pewien, że od niedawna mieszka w Gold Creek. Wytłumaczył jej więc, jak ma jechać, i ruszyli.

– Bardzo boli? – zapytała Mickey, bo Jack cicho jęknął, kiedy wcisnęła pedał gazu.

– To zależy. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Czy wolałabyś, żebym się zachował jak prawdziwy mężczyzna i powiedział, że to drobiazg, czy też mam ci wyznać prawdę?

– Boli jak wszyscy diabli – stwierdziła za niego.

Jack zamknął oczy i cierpiał w milczeniu. Odzywał się tylko wtedy, kiedy

trzeba było jej powiedzieć, gdzie Mickey powinna skręcić.

– Pewnie jesteś na mnie wściekły? – zapytała.

– A powinienem?

– Zapomniałam, że jesteś adwokatem – westchnęła. – Wy zawsze odpowiadacie na pytanie pytaniem. Rewelacyjna taktyka.

– A czy sprawiam wrażenie wściekłego? – zapytał spokojnie.

– Nie mam pojęcia. Jak wyglądasz, kiedy jesteś wściekły?

– Udało mi się. – Jack się uśmiechnął. Cieszył się, że tajemnicza nieznajoma jest tak blisko niego i że bez przeszkód może jej się przyglądać.

– Nie krępuj się, Ogonku. Miałam trzech braci, którzy bez przerwy usiłowali mnie wykiwać. Jestem przyzwyczajona.

– To oni nauczyli cię grać w baseball?

– Nie.

– Powiedziałaś, że dawno nie grałaś. Czy mam przez to rozumieć, że kiedyś byłaś zawodniczką?

– No.

Nieglupia i z reflekssem, pomyślał Jack. Znowu ma nade mną przewagę.

– Jack... – zerknęła na niego.

– Uważaj! – wrzasnął.

Z całej siły nacisnęła hamulec, cudem unikając zderzenia z jadącym przed nimi samochodem, który nagle się zatrzymał. Jack jęknął.

– Nie zrobiłaś sobie krzywdy? – zapytała przerażona. Wiedziała, że Jack odruchowo nacisnął na pedał hamulca, którego po stronie pasażera nie było.

– Nie – syknął przez zaciśnięte z bólu zęby.

– Jesteś prawdziwym mężczyzną – pochwaliła.

– Niepotrzebnie próbowałaś mnie przytrzymać. – Jack masował sobie tors. – Jeździsz z dzieckiem, czy co?

– Nie – zaprzeczyła gwałtownie. Już nie, dodała w myślach. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że podczas hamowania odruchowo przytrzymała go ręką. – Przepraszam, że znowu sprawiłam ci ból.

– Pocałuj, to przestanie boleć.

– Chciałbyś. – Uśmiechnęła się do niego. Dojeżdżali do szpitala, więc mogła sobie na to pozwolić.

– Trenerze...

– Stanę na miejscu dla karetek i poszukam jakiegoś wózka – oznajmiła, skręcając na oznakowane miejsce.

– Zanim sobie pójdiesz...

– Przestań. – Zatrzymała samochód i wyłączyła silnik. – Przykro mi, ale to wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro.

– Wytłumacz mi przynajmniej, dlaczego.

– To zbyt skomplikowane.

– Jesteś mężatką?

– Skądże!

– Masz kogoś?

– Nie. Przechodzę metamorfozę i muszę być teraz sama. Naprawdę bardzo mi było miło cię poznać... Mam nadzieję, że nie byłam dla ciebie zbyt nieprzyjemna.

– Wprost przeciwnie. Bardzo ci jestem wdzięczny. – Jack ostrożnie dotknął jej ramienia i przesunął palcami po rękę, aż dotarł do palców dziewczyny. – Wyświadczysz mi przysługę?

Jej ciało zareagowało na to dotknięcie w sposób, jakiego się nie spodziewała. Oddychała z trudem, dreszcz przeszedł jej po plecach. Wiedziała, że Jack widzi, co się z nią dzieje.

– Czy moglibyśmy się pocałować bez świadków? – zapytał cichutko. – Chociaż raz?

Nie chciała wyrazić zgody. Woląca na niego zrzucić odpowiedzialność za to, co się miało stać. Chciała, żeby ją pocałował, ale on cierpliwie czekał na pozwolenie.

Usłyszał, jak szepcze „tak”, tylko dlatego, że wpatrywał się w jej usta. Powoli przekręcił jej czapkę daszkiem do tyłu i zdjął słoneczne okulary. Jej źrenice zwęziły się od nagłej jasności. Rozchyliła usta. Nie spiesząc się, Jack pocałował najpierw delikatną skórę za uchem dziewczyny, a potem, powoli, przesunął wargi coraz bliżej jej spragnionych ust.

– Tak – wyszeptwała. – O, tak.

Zarzuciła mu rękę na szyję i mocno się do niego przytuliła. Jack pomyślał, że tak czuje się człowiek, który trafił do nieba.

I wtedy ktoś zapukał w szybę.

– Pan jest tym facetem, o którym mówił doktor Lansing? – zapytał stojący obok samochodu sanitariusz.

Jack miał ochotę go zamordować, ale tylko skinął głową. Nie mógł oderwać oczu od nieznajomej. Wyglądała tak, jakby zbudzono ją z długiego i bardzo głębokiego snu.

– Kim ty jesteś? – zapytał Jack.

Drżącymi dłońmi włożyła lustrzane okulary, przekręciła czapkę tak, żeby

daszek zakrywał jej twarz.

– Zaparkuję samochód, a kluczyki zostawię w recepcji – powiedziała.

Jack pogłaskał ją po policzku. Potem odwrócił się do niej plecami i usiadł na podstawionym przez pielęgniarkę wózku. Nie obejrzał się za siebie.

Mickey patrzyła na znikający za drzwiami szpitala wózek. Oparła głowę na kierownicy. Musiała się jakoś pozbierać.

Pocałunki Jacka są bardzo niebezpieczne, pomyślała. W każdym razie temperatura mojego ciała podniosła się co najmniej do czterdziestu stopni. Mało brakowało, żebym się przez niego wyrzekła samodzielności.

Po chwili rozprostowała plecy. Westchnęła i uruchomiła silnik. Zaparkowała samochód, zamknęła drzwi, a potem jeszcze przez pół godziny siedziała na ławce pod drzewem. Nie chciała spotkać się z Jackiem w szpitalnym holu. W końcu jednak musiała tam wejść.

Na szczęście Jacka już stamtąd zabrano.

– Dzień dobry. – Mickey podeszła do recepcjonistki. – Chciałabym zapytać o pacjenta z uszkodzoną kostką. Niedawno go tu przywieziono.

– Jest pani jego krewną?

– Nie. Jestem... koleżanką. Czy wszystko w porządku?

– Proszę chwilę poczekać. Zaraz sprawdzę.

Mickey usiadła na drewnianej ławeczce. Czapeczkę położyła na stoliku i wzięła do ręki jedno z leżących tam czasopism. Przewracała strony, ale widziała tylko migające przed oczami kolorowe plamy. Przypomniała jej się ostatnia wizyta w szpitalu i te pełne współczucia głosy: Niestety, nic nie możemy zrobić. Przykro nam, nie możemy pani pomóc.

Drgnęła gwałtownie, kiedy drzwi wejściowe rozsunęły się z sykiem.

– Co z nim? – zapytał Scott, zanim jeszcze podszedł do ławki, na której siedziała Mickey.

– Nie wiem. Już go zabrali. Wygraliście?

– Zdziwisz się, ale tak. Pójdę zobaczyć, co z Jackiem.

– Zaczekaj. – Mickey chwyciła go za rękę. Wyciągnęła z kieszeni kluczyki od samochodu. – Oddaj mu to, dobrze? Ja już sobie pójdę.

– Poczekaj – powiedział Scott, biorąc od niej kluczyki. – Za moment wrócę.

Rzeczywiście wrócił, zanim Mickey zdecydowała się, czy powinna zostać, czy może lepiej zniknąć.

– Nie zostaliśmy sobie przedstawieni – powiedział Scott i wyciągnął do Mickey rękę. – Jestem Scott Lansing.

– Tak, wiem. Jak on się czuje?

Musiała mieć bardzo przerażoną minę, bo Scott nie zwlekał dłużej.

– Nic mu nie będzie – powiedział. – Nie złamał nogi, tylko paskudnie ją sobie zwichnął. Możesz się z nim zobaczyć. Zaraz wyjdzie ze szpitala. Tylko jeszcze dobrać mu kule.

– Nie zostanę... – Mickey musiała jak najszybciej stąd wyjść. Uciec od wspomnień, od przeszłości. – Nie mogę... Powiedz mu... Powiedz, że bardzo się cieszę, że nic sobie nie zrobił. I że przepraszam, że przeze mnie tyle się nacierpiął.

– Dlaczego sama mu tego nie powiesz?

Z daleka dobiegł ją głos Jacka, który komuś za coś dziękował, a zaraz potem rozsunęły się drzwi. Mickey zrobiła trzy kroki do tyłu, odwróciła się na pięcie i uciekła.

Jack zdążył jeszcze zobaczyć jej plecy. Pytająco spojrzął na Scotta.

– Jest co najmniej tak samo uparta jak ty – powiedział Scott. – Pojedziesz z nami do Chung Li, czy chcesz wracać do domu?

– Wolę pizzę – odrzekł Jack. Wyjrzał przez oszklone drzwi, ale po tajemniczej dziewczynie nie było już ani śladu.

– Posiedź tu chwilę, a ja odbiorę twoje recepty. Nogę połóż na stoliku.

Jack z trudem usadowił się na drewnianej ławce. Odsunął leżące obok czasopisma. Między nimi znalazła się baseballowa czapeczka z napisem: L. A. Seagulls. Wziął ją do ręki i dokładnie obejrzał.

Jej czapka? pomyślał. Chyba tak.

Sprawdził, czy przypadkiem nie ma na niej żadnego innego napisu. Nie było. Wobec tego podniósł ją do twarzy i powąchał. Pachniała tym samym szamponem, co włosy dziewczyny. Nie spodziewał się, że aż tak zareaguje na sam jej zapach. Gdyby nie ten przekłety pielęgniarz, pewnie udałoby mu się namówić ją na zwierzenia albo przynajmniej na jeszcze jedno spotkanie.

Jack postanowił odnaleźć tajemniczego Kopciuszka. Ostrożnie złożył czapczkę i wetknął ją za pasek spodni. Po raz pierwszy w życiu nie posłuchał swej niezawodnej intuicji, która podpowiadała mu, że narobi sobie kłopotów. Uznał, że ta dziewczyna zasłużyła sobie na miłość i że to właśnie on, Jack Stone, stanie się jej księciem z bajki.

Rozdział 4

Mickey stała na dziedzińcu. College, w którym zaczęła uczyć, otrzymała nagrodę za rozwiązania architektoniczne i przepiękne wkomponowanie w otaczający budynki pejzaż. Nie dochodziły tu żadne dźwięki z zewnątrz. Ów college był zamkniętą społecznością, stanowił własny, odrębny świat.

Mickey miała za sobą pierwszy tydzień pracy i właśnie zaczęła drugi, znacznie spokojniejszy. Teraz czekały ją już tylko podobne do siebie dni z lekcjami i przerwą na lunch w środku dnia. Wieczorami musiała poprawiać prace klasowe i przygotowywać się do lekcji. Nic więcej. No, może jeszcze czasami jakieś konsultacje po południu. Z całą pewnością nie były to zajęcia męczące. Co ważniejsze, nie budziły emocji. Ot, takie spokojne, ustabilizowane życie w małej społeczności niedużego miasta. Idealny sposób na stopniowy powrót do normalnego życia.

– Do widzenia pani! – zawołał przechodzący obok niej młody człowiek.

Mickey podniosła głowę. Był to Greg, chłopiec, który od dwóch dni przychodził do niej na konsultacje.

– Cześć, Greg – uśmiechnęła się do niego. – Coraz lepiej ci idzie.

– Chyba wreszcie załapałem, o co chodzi.

– Wpadnij do mnie w środę. Moim zdaniem ty bardzo szybko wszystko łapiesz.

– Na pewno przyjdę – zapewnił ją Greg. – Bardzo pani dziękuję.

Ale Mickey już tego nie słyszała. Oniemiała patrzyła na idącego o kulach mężczyznę. On także ją zauważył. Przystanął i wpatrywał się w nią jak urzeczony.

– Jack – wyszeptała na widok człowieka, który od wielu dni nawiedzał jej sny.

– Pracujesz tutaj? – zapytał Jack, podchodząc do niej powoli. – Ja udzielam porad prawnych. Społecznie. Czasami także prowadzę wykłady na te tematy, w których się specjalizuję. A ty co robisz?

– Uczę matematyki – odrzekła, jakby przyznanie się do wykonywanego zawodu przychodziło jej z największym trudem.

Jack spojrzał na nią zaskoczony. Po chwili jego twarz się rozjaśniła.

– Czy ty się przypadkiem nie nazywasz Mickey Morrison? – zapytał.

– Skąd wiesz? – przeraziła się Mickey.

To ona wynajmuje ode mnie dom, myślał gorączkowo Jack. Tak chciałem ją spotkać, a ona przez cały czas była zaledwie o sto metrów ode mnie. A niech to!

– Ty też powinnaś znać moje nazwisko – uśmiechnął się do niej.

- Wiem tylko, jak masz na imię.
- Jack Stone.
- Wybacz, ale nic mi to nie mówi.
- A powinno.
- Dlaczego?

Jack nie odpowiedział. Zamiast tego sięgnął do teczki i wyjął stamtąd jej czapkę baseballową. Mickey chciała wziąć ją od niego, ale cofnął rękę.

– Nie tak szybko – powiedział. – Co najmniej godzinę przesiedziałaś w szpitalu. Wiem, że się o mnie martwiłaś. Dlaczego nie zostałaś chwilę dłużej? Czemu choćby paru słów ze mną nie zamieniłaś?

– Już ci mówiłam, że między nami nic się nie może zdarzyć. Przestań się dopytywać, dobrze?

– Wiem, że masz kłopoty. – Jack użył swego najłagodniejszego tonu głosu. Dzięki niemu zawsze udawało mu się wyciągnąć potrzebne informacje od najbardziej opornych świadków. – Przecież wiesz, że mogę ci pomóc.

Boże, chroń mnie od pewnych siebie facetów, pomyślała Mickey. Na szczęście szok minął i poczucie humoru raczyło do niej wrócić.

- Przysięgnij, że nikomu nie powiesz – zażądała konspiracyjnym szeptem.
- Przysięgam. – Jack pochylił się nad nią.

– Uciekłam handlarzowi żywym towarem – szepnęła i rozejrzała się niespokojnie dookoła. – Więził dwadzieścia kobiet. Pilnował nas taki wielki eunuch. Zakochał się we mnie i dzięki temu...

– Zrozumiałem aluzję – roześmiał się Jack. Nałożył jej czapeczkę na głowę. – Nic więcej nie musisz mówić. Rozumiem, że twoje kłopoty nie pachną kryminałem?

– A dlaczego miałyby być inaczej? – zdziwiła się Mickey.

– Po tylu latach pracy w zawodzie, w którym podejrzliwość jest cechą pozytywną, człowiek staje się ostrożny.

– A jednak chciałaś mi pomóc. Nawet gdyby się okazało, że zrobiłam coś...

– Nie podejrzewałam, że ty coś złego zrobiłaś. Sądziłem tylko, że masz kłopoty.

– Widząc, że Mickey zamierza odejść, odsunął się kurtuazyjnie. – Rozumiem, że się spieszysz.

Dopiero teraz Mickey naprawdę się zaniepokoiła. Jack za łatwo się poddał. Zdjęła z głowy czapeczkę i palcami przeczesła włosy. Stała jak zahipnotyzowana, patrząc w niebieskie oczy, które trzymały ją w miejscu, choć ich właściciel zachowywał się tak, jakby chciał ją przepuścić.

– Dzięki za czapkę – powiedziała.

– Wszędzie ją ze sobą nosiłem. Kiedyś w drogerii obwąchałem wszystkie próbki, żeby znaleźć ten szampon, którego używasz. Chciałem się czegoś o tobie dowiedzieć. Ta czapeczka to wszystko, co miałem. Aż żał mi się z nią rozstawać.

Mickey dziwnie się poczuła. Nikt nigdy nawet nie próbował jej czarować. Żaden mężczyzna nie dostrzegł w niej obiektu seksualnego pożądania. Była jedną z tych kobiet, które pyta się o drogę i z którymi tatusiowie posyłają swoje córki do damskiej toalety. Z całą pewnością nie była *femme fatale*, za jaką uważał ją Jack.

Zauważył, że wprawił ją w zakłopotanie. Teraz już mógł sobie na to pozwolić. Na wszystko mógł sobie pozwolić. Wiedział, kim jest jego tajemnicza trenerka, wiedział nawet, gdzie mieszka. Mógł pozwolić jej odejść. Przynajmniej na razie.

– Do zobaczenia, trenerze – powiedział. Ostrożnie stawiając kule, wyminął ją na ścieżce. – Teraz będziemy się widywać częściej.

Mickey otworzyła słoik z przynętą dla ryb. Skrzywiła się niemiłosiernie. Ależ to śmierdziało! Sprzedawca zapewniał ją, że ryby to uwielbiają i że nawet najbardziej wybredne nie oprą się takiemu przysmakowi. Na słoiku widniała wielka nalepka ostrzegająca przed jedzeniem tego pokarmu przez ludzi. Jakby ktokolwiek przy zdrowych zmysłach mógł mieć ochotę na takie cuchnące paskudztwo.

Trzymając słoik na odległość wyciągniętej ręki, wyjęła z niego odrobinę przynęty. Substancja miała konsystencję plasteliny i bardzo łatwo dało się z niej ukrócić kulkę, którą Mickey nałożyła na haczyk. Potem opłukała palce w wodzie i wytarła je o trawę.

Nie była mistrzem wędkarskim, toteż nie udało jej się zarzucić wędki w to miejsce, które sobie upatrzyła. Drugi rzut też nie był udany. Dopiero trzeci mogła od biedy uznać za satysfakcjonujący. Usiadła na brzegu, oparła się o wielki kamień i pograżyła w myślach, które zresztą niewiele się od siebie różniły. Ich głównym bohaterem był Jack Stone. Myślała o nim bez przerwy. Kiedy wracała z pracy, kiedy się przebierała i kiedy, z nowiutkim sprzętem wędkarskim, wybierała się nad strumień.

Dlaczego powiedział, że powinnam znać jego nazwisko? zastanawiała się. Wie, jak się nazywam i gdzie pracuję. Co dziwniejsze, wcale mnie to nie przeraża. A przecież teraz w każdej chwili ten człowiek może mnie znaleźć.

Ogarnęło ją miłe ciepłko. Ale to nie myśl o Jacku je spowodowała, ale ciepłe wrześnie słońce przebijające się przez prześwit pomiędzy gałęziami drzew. Mickey z lubością zamknęła oczy. Po chwili poczuła w całym ciele dziwne

mrowienie. Podobne do tego, jakie odczuwa się w ścierpniętej nodze, kiedy po długim bezruchu wreszcie zacznie się chodzić.

Tuż za jej plecami rozległo się przyjazne szczekanie. Rudy spaniel zapiszczał, oblizując Mickey na powitanie.

– Witaj, Pchełko – powiedziała Mickey, drapiąc psiaka za uchem.

Przez tych kilka tygodni, w ciągu których tu mieszkała, zdążyła się na dobre zaprzyjaźnić z pięknym psem, który miał imię wypisane na obroży. Oprócz imienia był tam także adres. Pies należał do właściciela posiadłości.

Naprawdę powinnam mu się wreszcie przedstawić, pomyślała Mickey chyba ze dwudziesty raz w tym tygodniu. Na swoje usprawiedliwienie miała tylko tyle, że w biurze pośrednictwa nieruchomości, gdzie Mickey podpisywała umowę, powiedziano jej, że właściciel często wyjeżdża i dlatego wszystkie sprawy związane z wynajęciem domu zlecił firmie. Proszono ją także, żeby w razie czego nie zwracała się bezpośrednio do niego, lecz do tego właśnie biura. Na tej podstawie Mickey doszła do wniosku, że człowiek ten, tak samo jak i ona, nie życzy sobie towarzystwa. Za to bardzo polubiła jego psa.

– Pchełko, ty wredny kundlu! – rozległ się w oddali męski głos. Towarzyszył mu odgłos kruszonych pod stopami zeschniętych liści. Mężczyzna szedł wolno. – Jeśli jeszcze raz mnie przewrócisz, to ogon ci oberwę.

Mickey oniemiała, kiedy właściciel psa ukazał się na szczycie wzgórza.

– Jack – wyszeptała.

– Cześć, trenerze. – Jack się do niej uśmiechnął. Ostrożnie stawiał kule pomiędzy kamieniami.

Mickey patrzyła, jak Pchełka, najwyraźniej ani trochę nie przestraszony paskudną groźbą, merda ogonem jak oszalały i łasi się do Jacka.

Jack i Pchełka? Mickey nie od razu zdołała uwierzyć w oczywistość tego zestawienia.

– John Robert Stone – wyrecytowała jak dobrze wyuczoną lekcję.

Jack tylko skinął głową. Uśmiechał się bezczelnie. Przynajmniej Mickey tak to sobie w myślach określiła.

– To ty jesteś właścicielem tej posiadłości.

– Wierzysz w przeznaczenie? – zapytał, opierając się na kulach.

– Wierzę w szczęście i w pecha. To spotkanie akurat zaliczyłabym do tej drugiej kategorii.

– Głęboko mnie zraniłaś. – Jack teatralnym gestem położył dłoń na sercu.

– Przeżyjesz – mruknęła. Stopniowo rodziła się w niej radość z tej

nieoczekiwanej bliskości. Mickey wiedziała już, że teraz nocne odgłosy lasu nie będą tak przerażające. Nie będzie się czuła tak bardzo samotna, skoro Jack jest blisko niej. Jack...

– Często tu przychodzisz? – zapytał.

Przykucnęła i nawinęła żyłkę na kołowrotek. Chciała dać sobie trochę czasu, więc ponownie zarzuciła wędkę.

Miała nadzieję, że nie wygląda jak nowicjuszka, którą w istocie była. Szczęście jej sprzyjało. Haczyk z przynętą wylądował w małej zatoczce pod przeciwległym brzegiem. Dokładnie tam, gdzie chciała. We wszystkich podręcznikach pisano, że w takich właśnie miejscach najchętniej kryją się ryby.

– Podoba mi się ten strumień – powiedziała. – Zwykle jestem tu całkiem sama. Nikt mi nie przeszkadza.

– A ja się zastanawiałem, gdzie się włóczy Pchełka.

Na dźwięk swego imienia Pchełka radośnie zawarczał. Uśmiechnął się po psiemu i dał susa do wody.

– Wystraszysz mi ryby – zawołała, śmiejąc się, Mickey. Nie chciała, żeby pies zaplątał się w żyłkę, zwinęła ją więc i odłożyła wędkę na bok. Na Jacka nie zwracała najmniejszej uwagi.

– To jeszcze szczeniak. – Jack poczuł się w obowiązku usprawiedliwić psiaka.

– Można by zacząć go tresować – odparła Mickey.

– Nie chcę. Zanim do mnie trafił, nie miał łatwego życia.

– A co mu się stało?

– Pojawił się w moim domu jakieś pół roku temu. – Jack z czułością przyglądał się psotom Pchełki. – Sama skóra i kości. Był zagłodzony i paskudnie pokaleczony. Weterynarz orzekł, że ma jakieś trzy lub cztery miesiące. Pchełka pozwolił się sobą zająć, ale minął chyba miesiąc, zanim naprawdę mi zaufał. Uważam, że zasłużył sobie na trochę radości w życiu. On uwielbia wodę, a ty? – Nieoczekiwanie zmienił temat rozmowy. – Pływałaś już w tym strumieniu?

Mickey często wchodziła do wody przed powrotem do domu. Teraz także miała pod ubraniem kostium kąpielowy. Nie była jednak pewna, czy odważy się jeszcze kiedyś pływać, wiedząc, że Jack może w każdej chwili pojawić się nad strumieniem.

– Ja też lubię wodę – odrzekła wymijająco. – Dziwne, że nigdy dotąd cię tu nie spotkałam.

– Szczerze mówiąc, ja także nie wiem, jak to możliwe. Dość często tu przychodzę, choć z tymi kulami nie jest to zbyt łatwe.

– Jak noga?

– Lekarze twierdzą, że za kilka dni będę mógł znowu chodzić.

Jack wbił w miękką ziemię końce kul i ostrożnie usiadł na trawie. Rozwinął bandaż.

– Jeśli będziesz go zwijał podczas zdejmowania, to się nie pobrudzi, a potem łatwiej będzie znowu obandażować nogę – zauważyła Mickey.

– Za późno. – Jack położył zwinięty w kulkę bandaż na suchym kamieniu. Wyciągnął przed siebie chorą stopę, poruszył nią, po czym zanurzył w chłodnej wodzie. – A ty się nie zdecydujesz? – zapytał.

Mickey zawahała się. Po chwili jednak zdjęła buty, usiadła obok Jacka i także zanurzyła stopy w strumieniu.

– Zauważyłaś, jak tu pachnie woda? – zapytał, wystawiając twarz do słońca.

– To znaczy, jak?

– Specyficznie. Jak leśny strumień, w którym pełno jest zwiędłych liści.

– Mnie się ten zapach podoba. – Mickey pociągnęła nosem.

– Mnie też. Chodzi mi o to, że jest inny. Na przykład wodę w basenie czuć chlorem, a znowu ocean pachnie solą i wodorostami.

– To fakt – zgodziła się Mickey. – Zimna woda pachnie inaczej niż gorąca.

Milczeli. Za to Pchelka szalał. To podbiegał do nich, to znowu wpadał do strumienia albo buszował po okolicznych krzakach.

– Lubisz uczyć matematyki? – zapytał po chwili Jack.

– Bardzo.

– Od jak dawna uczysz?

– Matematyczką zostałam dopiero w tym semestrze. Przedtem uczyłam literatury.

– To dwa przeciwne bieguny. Skąd ta zmiana?

– Musiałam coś zmienić w życiu – powiedziała Mickey po namyśle. Postanowiła zmienić także temat rozmowy. – Czy dobrze zrozumiałam, że Stacy była twoją żoną? A teraz jest żoną Drew, twojego kolegi z drużyny? I że masz córeczkę?

– We wszystkich trzech sprawach masz rację. Moja córka ma na imię Danielle, na pamiątkę mego zmarłego brata Daniela. Nazywamy ją Dani.

– Ty, Stacy i Drew jesteście jak jedna rodzina. Bardzo wam tego zazdroszczę.

– Mamy wspólne dziecko, Mickey. Dla Dani to bardzo ważne, żebyśmy żyli w zgodzie. Poza tym, my się naprawdę lubimy.

– Mój rozwód był koszmarny. Mojemu byłemu mężowi do głowy by nie

przyszło, żeby się ze mną teraz przyjaźnić. – Zerknęła na Jacka, chcąc wy badać, jak zareaguje na wieść, że także była mężatką, ale on zachował kamienną twarz.

– Może inaczej by to wyglądało, gdybyście mieli dziecko.

– Dobrze, że przedkładacie dobro dziecka nad własne sprawy – powiedziała Mickey obojętnie, choć aż się skuliła w środku. Przecież mieli dziecko. To właśnie jego śmierć sprawiła, że niezbyt udane małżeństwo całkiem się rozpadło. – Długo tu mieszkacie?

– Prawie rok. Przeprowadziliśmy się tutaj, jak tylko Drew skończył specjalizację z pediatrii. Mają tu wspólną praktykę ze Scottem, moim szkolnym kolegą. Poznałaś go przecież.

– To ten, który jest ginekologiem?

– Stacy twierdzi, że bardzo dobrym ginekologiem. Jest w trzecim miesiącu ciąży i bardzo sobie chwali jego opiekę.

Ta niewinna uwaga całkiem zwała Mickey z nóg. Pochyliła głowę, nie chcąc, żeby Jack na nią patrzył. Mimo upływu lat wciąż nie mogła zapomnieć, jak cudownie było czuć w sobie rozwijające się dziecko. Wtedy człowiek ani przez chwilę nie jest sam.

Żeby się czymś zająć, wzięła zwinięty byle jak bandaż i zaczęła go powoli, za to bardzo dokładnie rolować.

– Przyjechaliście tu wszyscy razem? – zapytała.

– Scott miał tutaj dobrze prosperującą praktykę. To jego rodzinne miasto. Drew, Stacy, Dani i ja przenieśliśmy się tu z Chicago.

– Chcesz powiedzieć, że porzuciłeś kancelarię adwokacką w Chicago, żeby zamieszkać w małym miasteczku, gdzie na pewno żadna interesująca sprawa ci się nie trafi?

– Niczego jeszcze nie porzuciłem. Jestem, jak by to powiedzieć, na długim urlopie. Ale wkrótce rzeczywiście będę musiał coś postanowić. Nie chcę zostawiać Dani i spotykać się z nią parę razy do roku. Drew to dobry człowiek, ale ja jestem jej ojcem. Rozmowy telefoniczne i spotkania raz na kwartał mi nie wystarczą. Żadna kariera nie jest warta utraty kontaktu z dzieckiem. – Popatrzył na nią znacząco. – Przepraszam cię za to nieporozumienie na stadionie. Choć, z drugiej strony, nie rozumiem, jak mogłaś sądzić, że spotykałbym się z tobą, nie przyznając się, że jestem żonaty.

– Nie miałam czasu na myślenie. Dopiero potem, kiedy się nad tym zastanowiłam, okazało się, że nawet nie potrafię sobie wyobrazić ciebie jako męża Stacy.

– Dlaczego?

– Ona jest... Jest od ciebie dużo młodsza, prawda?

– O piętnaście lat. Chcesz wiedzieć, jak do tego doszło?

– To nie moja sprawa – zachnęła się Mickey. Gwałtownie odłożyła zrolowany bandaż na ten sam kamień, na którym przedtem położył go Jack.

– Kiedy braliśmy ślub, Stacy była w ciąży. Powiedział to w taki sposób, jakby w tej sytuacji nie było zupełnie nic nadzwyczajnego. W jego głosie nie słychać było zakłopotania.

– Nie będzie komentarza? – zapytał po chwili, bo Mickey się nie odezwała. Widocznie nie takiej reakcji się po niej spodziewał.

– No cóż... Jestem trochę... Bo ja wiem? Zaskoczona? Nie wyglądasz mi na człowieka, który...

– Wykorzystuje nieletnie? – dokończył za nią Jack.

– Raczej takiego, który daje się złapać na dziecko.

– Dani to najwspanialszy dar, jaki otrzymałem od losu. Mickey skonstatowała ze zdziwieniem, że powiedział to w taki sposób, jakby się bronił przed zarzutami, których ona nawet nie zamierzała mu postawić. Zdecydowała, że czas znów zmienić temat. Na początek wyjęła nogi z wody i ułożyła się na słońcu.

– Czym się teraz zajmujesz? – zapytała.

– Sporo piszę. Poza tym często jeżdżę do Chicago. Nie chcę tracić kontaktu z moimi współnikami. Pomagam im prowadzić sprawy, które wcześniej razem zaczęliśmy. – Jack także wyjął nogi ze strumienia i ułożył się na słońcu obok Mickey. Chciał jakoś przedłużyć to spotkanie, może nawet zaprosić ją na kolację. Wiedział, że musi postępować bardzo ostrożnie. Tak samo jak kiedyś postępował z Pchełką. Nie da się od razu zdobyć zaufania skrzywdzonej istoty. – Skoro już wiesz, gdzie mieszkam, możesz wpadać, kiedy tylko zechcesz.

– Nie chciałabym ci przeszkadzać – mruknęła.

– W niczym mi nie przeszkodzisz. – Wziął bandaż i niezgrabnie zaczął sobie owijać nogę.

– Może ja to zrobię – zaproponowała Mickey, widząc, że Jack niezbyt dobrze sobie radzi.

– Naprawdę? – ucieszył się. – Bardzo ci będę wdzięczny.

Położył nogę na jej kolanach. Rozwijając niezdarnie nałożony opatrunek, Mickey poczuła, że czapeczka zsuwa się jej z głowy. Spojrzała na Jacka.

– Nie widzę twojej twarzy – powiedział cicho.

Ich oczy spotkały się na chwilę. Mickey jednak prędko spuściła głowę i zajęła

się bandażowaniem zwichniętej nogi. Robiła to sprawnie, fachowo, tak, jak dawno temu nauczył ją trener L. A. Seagulls. Musiała tylko uważać, żeby ręce jej nie drżały.

– Mogła to robić szybciej. Tak zresztą byłoby rozsądniej. Jednak zbyt ją kusiała przyjemność dotykania drugiego człowieka. Szczególnie tego właśnie mężczyzny. Dawno uspione pragnienie obudziło się w niej nagle i bez żadnego uprzedzenia. Zachciało jej się przytulić choćby do tej jego nogi.

Jack nie był obojętny na dotknięcie delikatnych palców Mickey. Chciał jej jakoś powiedzieć, co czuje, ale bał się ją wystraszyć. Przyglądał się więc tylko, usiłując odgadnąć, czy ona sama nie domyśli się, jak bardzo go podnieciła. Gotów był natychmiast się odsunąć, gdyby na jej twarzy pojawił się choćby cień obrzydzenia. Tymczasem ona najwyraźniej także była podniecona. Delikatnie głaskała jego nogę, co wcale nie było konieczne podczas bandażowania. Oddychała ciężko, jakby zmęczona szybkim biegiem. Przez kilkanaście sekund patrzyła na jego nogę leżącą na jej kolanach. Jack pół życia oddałby za to, żeby wiedzieć, o czym ta dziewczyna myśli.

Mickey zastanawiała się, co zrobiłby Jack, gdyby położyła mu głowę na kolanach. Może by ją pogłaskał? A może jeszcze coś więcej by zrobił? Od lat nie kochała się z żadnym mężczyzną. I akurat teraz musiała sobie o tym przypomnieć!

Wyprostowała się, uświadomiwszy sobie, że Jack uważnie się jej przygląda.

– Nie musisz się mnie bać – powiedział, zdejmując z jej kolan dawno już obandażowaną nogę. – Nic się przecież nie stało. Oprócz tego, żeśmy się sobie spodobali. Jeśli będziesz tak miła i podasz mi kule, to zaraz stąd pójdę.

Mickey pomogła mu wstać i patrzyła, jak nawołuje buszującego po krzakach Pchełkę.

– Możesz nadal tutaj przychodzić – powiedział Jack, najwyraźniej odczytując jej myśli. – Nie będę cię szukał, ale jeśli kiedyś przypadkiem się spotkamy, to nie uciekaj, dobrze? Nigdy nie zrobię nic, co by cię wprawilo w zakłopotanie. W każdym razie niczego takiego nie zrobię celowo.

– Dziękuję, Ogonku – uśmiechnęła się do niego słabiutko.

– Mogłabyś wreszcie dać sobie spokój z tym przezwiskiem.

Mickey odetchnęła z ulgą, widząc, jak Jack niezdarnie wdrapuje się na zbocze. Gdy tylko zniknął jej z oczu, ściągnęła przez głowę koszulkę i zdjęła szorty. Nigdy przedtem nie miała takiej ochoty na kąpiel w strumieniu.

– Uspokój się, Pchełko – mruknął Jack, z ledwością unikając kolejnego

zderzenia z psiakiem.

Dotarł już prawie do domku dla gości, kiedy przypomniał sobie, że stracił okazję zaproszenia Mickey na kolację. A przecież nie było w tym żadnego ryzyka. Mogła mu, co najwyżej, odmówić. Odwrócił się i spojrzął na porośnięte drzewami zbocze. Wcale nie był pewien, czy uda mu się jeszcze raz pokonać drogę na dół i w górę.

Właściwie był z siebie zadowolony. Dowiedział się przynajmniej, że Mickey była mężatką i że tamten związek źle się zakończył. Nie wiedział jednak, czy właśnie wspomnienie nieprzyjemnego rozvodu sprawia, że jej oczy są takie smutne. Nie wiedział nawet, czy w ogóle ma ochotę poznać to, co ją dręczyło. Miał dość rozwiązywania cudzych problemów. Marzył o nieskomplikowanej kobiecie, której wystarczyłaby jego fizyczna obecność i która nie potrzebowałaby nieustannego psychicznego wsparcia.

Do czterdziestych urodzin pozostał mu tylko miesiąc. Tego samego dnia upływał ustalony przez Jacka termin. Musiał się zdecydować, czy wróci do Chicago, czy też zrezygnuje z pracy w kancelarii. Miał nadzieję, że w ciągu roku znajdzie kobietę, która pomoże mu podjąć decyzję, ale Mickey dopiero teraz pojawiła się w jego życiu. Nie było czasu, żeby się przekonać, czy jest właśnie tą kobietą, na którą czekał.

Spojrzał w niebo, ale zamiast słońca i obłoków zobaczył jej smutne oczy. Zaklął. Odwrócił się i zaczął schodzić nad strumień.

Przy odrobinie szczęścia spotkam się z nią w połowie drogi, pomyślał. Powinna już wracać do domu. Muszę tylko uważać na tego psa. No dobrze. Jeszcze tylko minę te dwa drzewa i już ją zobaczę...

Wyłoniła się z wody zgrabna i lśniąca jak syrena. Była zachwycająca. Jack uznał, że lepiej będzie zaczekać, aż się ubierze. Nie chciał jej krępować swoją obecnością. Oparł się o drzewo, usiłując nie patrzeć na nią. Nie całkiem mu się to udało.

Mickey wzięła do ręki koszulkę. Zawahała się. Namyslała się przez chwilę, potem rozejrzała się i rzuciła koszulkę z powrotem na trawę. Zsunęła ramiączka kostiumu. Jack sądził, że teraz nałoży koszulkę, ale ona całkiem się rozebrała. Stała, naga, w pełnym słońcu, grzejąc się jego ciepłem.

Nawet gdyby się teraz odwróciła, i tak nie mogłaby zobaczyć Jacka. On zaś, choć wiedział, że to, co robi, jest niemoralne, nie potrafił oderwać od niej oczu.

Jack nie miał wielkiego doświadczenia z kobietami. Zbyt był zajęty wychowywaniem brata, potem nauką, a w końcu karierą zawodową, której

poświęcił cały swój czas i energię. Żadna kobieta nie była ważniejsza niż praca. Oprócz Stacy, oczywiście. Dopiero teraz, patrząc na Mickey, zrozumiał, ile stracił. Nawet po przeprowadzce do Gold Creek nie dawał sobie zbyt wiele czasu na przyjemności. A już na pewno do głowy by mu nawet nie przyszło, żeby tak sobie postać nago nad strumieniem.

Nagle Mickey jak oszalała rzuciła się do leżącego na trawie ubrania. W rekordowym tempie nałożyła koszulkę i wciągnęła na siebie szorty. Nawet z tej odległości dało się zauważyć, jak odetchnęła z ulgą, kiedy okazało się, że to tylko Pchełka zakłócił jej spokój.

Zabiję tego kundla, pomyślał Jack, wściekły jak nigdy dotąd.

Rozdział 5

Mickey siedziała zwinięta w kłębek na swoim ulubionym siedzisku obok okna. Owinięta grubym, frotowym szlafrokiem, usiłowała wybaczyć sobie głupotę, jakiej się tego popołudnia dopuściła.

Jak ja mogłam tak stać nago na brzegu strumienia, myślała niepocieszona. Każdy mógł mnie zobaczyć. Ja sobie nawet wyobrażałam, że Jack na mnie patrzy. Ale naprawdę czułam się taka silna, czysta i... godna pożądania. Gdyby nie Pchełka, pewnie do tej pory bym tam stała. I może wreszcie wróciłabym do życia.

Właściwie była zadowolona, że pies pojawił się tak nagle. Wprawdzie nigdy wcześniej nie spotkała nikogo nad strumieniem, ale przecież szczęście nie może trwać wiecznie. Poza tym Jack mieszkał w pobliżu.

Mickey postanowiła nigdy więcej nie zdejmować ubrania poza domem oraz trzymać zmysły na wodzy. Nie chciała, żeby Jack sobie pomyślał, że ma do czynienia ze spragnioną miłości ekshibicjonistką.

Kiedy wreszcie położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy, zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, kochanie.

– Cześć, mamó! Co u ciebie?

– Ważniejsze jest dla mnie, co u ciebie słychać – powiedziała zatroskana Ginny Morrison.

– U mnie wszystko w porządku.

– Naprawdę?

– Lepiej od razu powiedz, o co ci chodzi, mamó.

– Byłam dziś na cmentarzu – odezwała się Ginny po chwili tak długiej, że Mickey nie spodziewała się już usłyszeć odpowiedzi. – Ktoś tam był przede mną – ciągnęła. – Na grobie leżał bukietek stokrotek przewiązanych różową wstążeczką.

– To ja tam byłam – powiedziała cicho Mickey. – Wczoraj.

– Och, kochanie!

– Wcale nie zwariowałam – broniła się Mickey. – Nie byłam na cmentarzu już od kilku tygodni.

– Przebyłaś taki kawał drogi w jeden dzień! To chyba ze dwanaście godzin za kierownicą. I nawet do nas nie zajrzałaś.

– Gdybym zajrzała, to byś mi znów tłumaczyła, że powinnam o wszystkim zapomnieć.

– Sama cię namawiałam na wyjazd. Dla twojego dobra. Ale wiesz przecież, że oboje z ojcem w każdej chwili gotowi jesteśmy ci pomóc. Po prostu chcemy, żebyś doszła do siebie.

– Wiem i bardzo was za to kocham. Tylko czasami wydaje mi się, że żałoba jest jedyną rzeczą, jaka mnie jeszcze trzyma przy życiu.

– Rozumiem cię, kochanie. Naprawdę. Może chciałabyś nas odwiedzić? Mogłybyśmy sobie pogadać.

– Jeszcze nie teraz. Niebawem was odwiedzę, ale nie teraz. Jak się czuje tata?

– Co ja ci będę opowiadać – Ginny westchnęła ciężko. – Rozgrywki pucharowe.

– Jakoś to wytrzymasz. – Mickey rozbawił ton, jakim matka wypowiedziała te ostatnie dwa słowa. Ucieszyła się też, że tak łatwo zgodziła się zmienić temat. – Do finałów został niecały miesiąc. Przeżyłaś z nim trzydzieści siedem sezonów, więc chyba wiesz, czego się spodziewać.

– Jest pewna drobna różnica. Ojciec uważa, że jeśli Seagulls nie zdobędą pucharu, to odbiorą mu drużynę.

– Niemożliwe! Nie mogą mu tego zrobić. On bez tej drużyny umrze.

– Ojciec mówi to samo.

– Czy chcą, żeby zrezygnował?

– Twierdzi, że takie właśnie odniósł wrażenie. Ja także uważam, że to go może zabić.

– Nie denerwuj się, mamo. Wszystko będzie dobrze. Ja już wiem, że właściwie niewiele jest rzeczy, które mogą człowieka zabić. Ojciec też jakoś sobie poradzi. Albo znajdzie inną drużynę, albo się przyzwyczai.

– Nie wiem, jak ja wytrzymam, jeśli on przez cały okrągły rok będzie siedział w domu. – Ginny w końcu się roześmiała. – Dotąd nieczęsto się widywaliśmy.

– Wiem, pamiętam. Jak już siedział w domu, to do wszystkiego się wtrącał. Tak samo było z Randym. Do szału mnie doprowadzało, że najpierw wciąż go nie ma w domu, a potem już bez przerwy zawraca mi głowę. Nie wiem, jak tobie udało się wytrzymać tyle lat.

– W takim małżeństwie potrzebna jest miłość, cierpliwość i przyjaźń. Zresztą, jak w każdym udanym związku.

Po skończonej rozmowie Mickey pogрузzyła się w myślach. Matka nie po raz pierwszy dzieliła się z nią swoją życiową mądrością, tyle tylko, że za każdym razem Mickey coraz lepiej rozumiała przesłanie. Każdy związek ma takie same szanse na sukces lub klęskę. Okoliczności wpływają na ludzi tylko wtedy, kiedy się

do tego dopuści.

Mickey dopiero niedawno przestała się obwiniać za rozpad swojego małżeństwa. Ich związek opierał się na wiecznej rywalizacji. Z całą pewnością nie było w nim miłości, cierpliwości, a nawet przyjaźni, tych niezbędnych składników małżeńskiego szczęścia. Cóż w tym dziwnego, że po śmierci dziecka małżeństwo całkiem się rozpadło.

Nagle usłyszała jakiś szmer. Nasłuchiwała. Nie, wcale się jej nie zdawało. Ktoś stał przy drzwiach i usiłował je otworzyć. Rozległo się jakby drapanie w deski...

– Pchełka. – Mickey odetchnęła z ulgą.

Na drżących jeszcze nogach podeszła do drzwi. Kiedy je otworzyła, ruda kulka wpadła do środka, napełniając dom radością i przepędzając wszelkie straszdyła.

– Przestraszyłeś mnie, piesku – powiedziała z wyrzutem.

– Hau! – Pchełka patrzył na nią, jakby rozumiał, co się do niego mówi.

– Myślałam, że to wilk wyszedł z lasu i chce mnie pożreć. Czy twój pan wie, gdzie jesteś? – Mickey przykucnęła i głaskała łaszącego się do niej psa. – Chyba trzeba mu będzie o tym powiedzieć.

Numer telefonu Jacka był zaprogramowany w pamięci aparatu pod hasłem „duży dom”. Mickey nacisnęła guzik i czekała. Z każdym kolejnym sygnałem coraz bardziej się denerwowała.

– Cześć, mówi Mickey – odezwała się, gdy wreszcie podniósł słuchawkę.

– Co za miła niespodzianka – ucieszył się Jack.

– Pchełka przyszedł mnie odwiedzić.

– Założę się, że nie zadzwonił, żeby cię uprzedzić. Co to za maniery? Muszę nad nim popracować. Bardzo ci przeszkadza?

– Skądże. Miło jest mieć towarzystwo.

– Potrzebujesz towarzystwa, trenerze?

Mickey zdziwiła się, usłyszawszy w jego głosie oprócz żartobliwej nuty także coś jakby czułość, a może nawet zachętę. Miała wielką ochotę przyjąć to, co miał jej do zaproponowania, szczególnie teraz, kiedy zrzuciła z siebie ochronny kokon. Jej dusza wciąż jeszcze lgnęła do tej osłony, ale ciało cieszyło się swobodą i ani myślało znów z niej rezygnować.

– Trenerze, jesteś tam jeszcze?

– Czy Pchełka mógłby ze mną jeszcze trochę zostać? – zapytała.

– Jeśli chcesz...

– Naprawdę?

– Naprawdę – zapewnił ją Jack. A po chwili wahania dodał: – Gdybyś czegoś

potrzebowała, to do mnie zadzwoń. Dobrze?

– No...

– Pewnie się domyślasz, że ja też mam pewne potrzeby i tak mi się zdaje, że są trochę podobne do twoich.

– Może...

– Może moglibyśmy kiedyś o tym porozmawiać.

– Możesz sobie o tym tylko pomarzyć – mruknęła Mickey, szczęśliwa, że nie dała mu się całkiem oczarować.

– Od kilku tygodni niczym innym się nie zajmuję – przyznał. – Ale chciałbym wreszcie sprawdzić, jak mają się moje sny do rzeczywistości.

– Niedługo odeślę ci Pchełkę – powiedziała cicho Mickey.

– Słodkich snów, trenerze.

Zanim zdążyła się odezwać, Jack się wyłączył. Mickey spojrzała na słuchawkę. Po namyśle odłożyła ją na widełki.

Od razu sięgnęła po książkę telefoniczną i odszukała adres gabinetu Scotta Lansinga. Nie miała wątpliwości, że już wkrótce będzie potrzebowała skutecznych środków antykoncepcyjnych.

Mickey patrzyła na leżący przed nią formularz, jakby był napisany po chińsku. Nie rozumiała, dlaczego musiała sobie wybrać lekarza, który był przyjacielem Jacka. Spotkanie w gabinecie z takim ginekologiem wcale nie było łatwe, a tu jeszcze ten formularz... „Liczba ciąży”.

Mickey zacisnęła powieki. Postanowiła stąd wyjść, pojechać do domu i tam pójść do ginekologa, którego znała od lat i któremu nie trzeba było niczego tłumaczyć.

Przyjechałam tu po to, żeby się usamodzielnic, przypomniała sobie. Unikanie trudnych sytuacji nie jest żadnym rozwiązaniem.

Z ciężkim westchnieniem zabrała się do wypełniania kwestionariusza.

– Cześć.

– Dzień dobry – powiedziała Mickey i na wszelki wypadek złożyła kwestionariusz, żeby Stacy niczego nie przeczytała.

– Mogę usiąść koło ciebie?

– Gratuluję. – Mickey przestawiła torbę na podłogę. – Jack mi mówił, że jesteś w ciąży.

– Dziękuję. Oboje z Drew bardzo się z tego cieszymy.

– Dobrze się czujesz?

– Trochę mnie jeszcze mdli, ale to normalne. Dziś mam kontrolne badanie. – Spojrzała na złożony arkusik, który Mickey trzymała w dłoni tak mocno, że pewnie tylko operacyjnie dałoby się go stamtąd usunąć. – A tobie co dolega?

– To także będzie kontrolne badanie – odrzekła Mickey. Usiłowała się nie denerwować. Czy Stacy chce się ze mną zaprzyjaźnić, czy może chodzi jej o co innego? myślała zaniepokojona. Ta kobieta była przecież żoną Jacka i ma z nim dziecko. Z drugiej strony Jack i Stacy są wyjątkową parą prawdziwych przyjaciół. Boże, dlaczego to życie musi mi się tak komplikować!

– Słyszałam, że to ty wynajmujesz dom od Jacka – zaczęła Stacy.

– Zaskoczyłam was, co?

– Pewnie. Jack sądził, że wynajął dom mężczyźnie.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Po pierwsze: imię. Po drugie: fakt, że uczysz matematyki. A do tego jeszcze ta twoja furgonetka...

– Lubię duże auta – roześmiała się Mickey.

– Ma taki niezwykły kolor.

Turkusowy kolor od razu zwrócił uwagę Mickey na ten właśnie samochód. Właściwie nie tyle zwrócił, co sprawił, że zapragnęła mieć ten, a nie żaden inny wóz. Nawet się nie targowała, tylko podpisała papiery, które jej podsunęto. A kiedy wreszcie wsiadła do auta, całą godzinę jeździła bez celu, żeby się nim nacieszyć. Tak, pomyślała, to jeszcze jeden dowód na to, jak bezsensowne są moje próby ukrycia się przed światem.

– Czy przeszkadza ci to, że byłam żoną Jacka? – zapytała Stacy, zaniepokojona długim milczeniem Mickey.

– Twoja kolej, Stacy – powiedziała pielęgniarka. Mickey ucieszyła się, bo pomoc nadeszła w ostatniej chwili.

– Uratowana przez słowika. – Stacy uśmiechnęła się domyślnie. – Ja jestem bardzo szczerą. Przyzwyczaisz się do tego.

– Tak sądzisz?

– Jestem tego pewna – odrzekła Stacy i weszła do gabinetu.

Mickey patrzyła na nią z zazdrością. Jej krótkie włosy, bawełniana koszulka i dżinsy w żaden sposób nie mogły się równać z długimi, wypielęgowanymi włosami Stacy i jej zwiewną, kwiecistą sukienką.

– No cóż – westchnęła. – Zobaczymy.

Mickey wyszła z gabinetu Scotta zadowolona. Rzeczywiście był dobrym

lekarzem i miał wspaniałe podejście do pacjentek. No i zapisał jej pigułki.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu znów zobaczyła w poczekalni byłą żonę Jacka.

– Miałam nadzieję, że dasz się namówić na lunch – powiedziała Stacy, zauważywszy malujące się na twarzy Mickey przerażenie. – Niedaleko stąd jest taka sympatyczna kawiarenka.

– Nie musisz wracać do Dani?

– Dziś i jutro Dani jest u Jacka.

Mickey musiała się zgodzić. Nie miała innego wyjścia. W milczeniu szły ulicą. Dopiero kiedy usiadły przy stoliku i zamówiły sobie coś do jedzenia, Stacy powtórzyła pytanie.

– Czy czujesz się zakłopotana tym, że byłam żoną Jacka? Mickey o mało się nie udławiła.

– Troszeczkę – przyznała. Recepta, którą wsunęła do kieszeni, paliła ją żywym ogniem.

– Naprawdę nie powinnaś się tym przejmować. Jesteśmy przyjaciółmi.

– Zauważyłam.

– Jack to wspaniały człowiek – ciągnęła Stacy. – Problem w tym, że pobraliśmy się z niewłaściwego powodu.

– Tak samo jak my – powiedziała niespodziewanie dla samej siebie Mickey. – Tyle że mojemu byłemu mężowi nawet do głowy nie przyjdzie, że mógłby się ze mną zaprzyjaźnić.

– Może za jakiś czas...

– Nie! – zawołała Mickey głosem pełnym cierpienia i oburzenia zarazem. Jej samej ten okrzyk wydał się patetyczny.

– Czas leczy rany – powiedziała Stacy. – Ja, na przykład, od czwartego roku życia wychowywałam się w rodzinach zastępczych. Było ich sześć, z czego dwie całkiem sympatyczne, trzy takie sobie, a jedna – koszmarna. Dzięki Jackowi udało mi się zapomnieć o wszystkim, co przeżyłam. Oczywiście, nie od razu. Nieźle dałam mu się we znaki.

– Zauważyłam, że Jack ma anielską cierpliwość.

– Właściwie dopiero uczy się cierpliwości. W każdym razie nie miał jej zbyt wiele dla wstrętnego bachora, który postawił sobie za cel zamienić jego życie w piekło na ziemi. Sądziłam, że on, tak samo jak wszyscy inni, też mnie zostawi, więc na wszelki wypadek robiłam awantury przy byle okazji.

Mickey chciała zadać jakieś pytanie, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Przepraszam – powiedziała. – O tyle rzeczy chciałabym cię zapytać, a to przecież nie moja sprawa.

– Jack sam ci wszystko opowie. Ja tylko chciałam, żebyś wiedziała, że mnie się nie musisz krępować. Nikt nie pragnie szczęścia Jacka bardziej niż ja.

Po południu Mickey poszła nad strumień. Wzięła ze sobą przybory do wędkowania.

A więc Stacy sądzi, że mogę dać Jackowi szczęście, myślała. Czy ja wiem? Może i dobrze byłoby mieć koło siebie kogoś takiego, ale najpierw sama muszę wyzdrowieć. A on przecież nie będzie czeka! w nieskończoność.

Nie widziała go już trzy dni. Tylko Pchełka wpadał do niej od czasu do czasu, żeby się poprzytulać albo wypłoszyć ryby ze strumienia.

– Tatusiu! – rozległ się piskliwy dziecięcy głosik.

Zaraz potem Mickey usłyszała poszczekiwanie psa i śmiech mężczyzny. Gdyby wyszła z domu dziesięć sekund później, mogłaby jeszcze zawrócić. Teraz jednak było już na to za późno, bo Pchełka, zauważywszy ją, zaszczeakał radośnie, jak bomba wypadł z wody i popędził w górę, żeby się przywitać.

Mickey nie mogła oderwać oczu od Jacka. Ubrany w same tylko kąpielówki, trzymał w ramionach roześmianą Dani.

– Cześć, trenerze! – zawołał.

Mickey skorzystała z obecności Pchełki, żeby choć trochę zyskać na czasie. Przykucnęła i pogłaskała psiaka, choć tak naprawdę wściekła była na niego za to, że odkrył jej obecność.

Przytulona do ojca, Dani uważnie się jej przyglądała.

– O ile dobrze pamiętam, to nie zostałyście sobie przedstawione – powiedział Jack.

Dani i Mickey patrzyły na siebie w milczeniu. Mickey miała nadzieję, że dziewczynka nie przestraszy się jej pożądlwego wzroku. Wcale tego nie chciała, ale nie umiała się opanować. Dani była tylko o rok starsza od Barrie. Mickey z wielkim wysiłkiem powstrzymała napływające do oczu łzy.

– Cieszę się, że wreszcie cię poznałam, Dani – powiedziała, odrywając od dziewczynki pełne smutku spojrzenie.

– Masz takie same oczy jak Pchełka – oznajmiła Dani.

– Mają prawie taki sam kolor – poparł ją Jack.

– Są smutne. Takie, jakie miał Pchełka, kiedy do nas przyszedł. Pamiętasz?

Jack spojrział na Mickey. Zdążył jeszcze zobaczyć jej pełne beznadziejnego

smutku oczy, a także gwałtowne potrząsanie głową, które miało zaprzeczyć oczywistym faktom.

– Czy na pierwsze imię masz Myszka? – zapytała podekscytowana Dani.

– Nie. – Mickey się roześmiała. – Nazwano mnie tak na cześć Mickeya Mantle’a. Grał w baseball.

– Coś takiego – zdziwił się Jack. Postawił córeczkę na ziemi i owinął ją ogromnym, kosmatym ręcznikiem. – Dlaczego?

– Ja i moi bracia dostaliśmy imiona po różnych gwiazdach baseballu. Mój ojciec był stoperem w pierwszej lidze. Może o nim słyszałeś. Nazywa się Pete Morrison.

– Jasne, że słyszałem. – Jack aż usta otworzył ze zdumienia. – Nawet moja skromna wiedza na temat sportu nie jest aż tak ograniczona. Pobił wszelkie rekordy w zdobywaniu baz.

– Teraz już nie gra. Od czternastu lat prowadzi L. A. Seagulls. Dani powędrowała nad brzeg strumienia. Wielki ręcznik zwieszał się jej z ramion jak królewski płaszcz. Przykucnęła. Zbierała kamyki i z pluskiem wrzucała je do wody.

– No więc jak to było z tym twoim imieniem? – zapytał Jack, zapraszając Mickey, aby usiadła obok niego na kamieniu.

– Przed wyjazdem ojca na wiosenne treningi mama często zachodziła w ciążę – zaczęła Mickey. Usiłowała nie patrzeć na nagi tors Jacka, lecz nie bardzo jej się to udało. – Cztery razy w przeciągu ośmiu lat. Wszyscy urodziliśmy się w listopadzie I każde z nas dostało imię po jednym z dwóch graczy uznanych w danym roku NWG. Mama mogła sobie tylko wybrać, po którym.

– Co to jest NWG, tatusiu? – zapytała Dani.

– Najbardziej Wartościowy Gracz, czyli taki, który w danym roku najlepiej grał – wyjaśnił dziewczynce Jack. – A jaką alternatywę miała twoja matka, kiedy ty się urodziłaś? – zwrócił się do Mickey.

– Maury Wills.

– A twoi bracia po kim mają imiona?

– Po Erniem Banksie, Rogerze Marisie i Brooksie Robinsonie. Mnie najbardziej podoba się Brooks. Chciałabym mieć na imię Brooks.

– A mnie się zdaje, że Mickey idealnie do ciebie pasuje.

– Dlaczego?

– Taki z ciebie sympatyczny zabijaka. Sympatyczny i bardzo pociągający.

Jego spojrzenie mówiło jeszcze więcej niż słowa. Jeśli Mickey choć przez

chwilę wątpiła, czy Jack uważa ją za kobietę, ponieważ nie nosiła powiewnych sukienek, to jego spojrzenie wszystkie te wątpliwości rozwiąło. Wolała zmienić temat.

– Nie chodzisz już o kulach – zauważyła.

– Od dzisiaj – pochwalił się. – Jeśli chcesz powędkować, to się nie krępuj. My z Dani nie będziemy już pływać.

– Nie mam siły walczyć z Pchełką.

Zerknęła na Jacka. Gdyby tylko trochę przechyliła się na bok, mogłaby dotknąć ustami jego nagiego torsu. A jeśliby udała, że straciła równowagę, mogłaby położyć rękę na jego nodze. Potem mogłaby udać, że wstaje, znów się potknąć i w ten sposób wylądowałaby mu na kolanach. A potem to już żaden problem ująć jego twarz w obie dłonie i długo, namiętnie go całować. Później już nic by nie musiała robić, bo Jack oszalałby z pożądania i żadne z nich nie panowałoby ani nad sobą, ani nad sytuacją.

Nieświadom jej grzesznych myśli, Jack zwrócił twarz do słońca. Z wielkim trudem oparł się pokusie otwarcia oczu i spojrzenia na Mickey. Wyczuwał w niej coś, czego nigdy przedtem pomiędzy nimi nie było, jakby fizyczną więź. Nie dotykali się, choć siedzieli tak blisko siebie, że Jack wiedział, kiedy Mickey sztywniała, a kiedy rozluźniała mięśnie. Zastanawiał się nawet, jak by postąpiła, gdyby się trochę do niej przysunął. Postanowił sobie, że zrobi to tak, żeby się wydawało spontaniczne. Musiał jednak zaczekać, aż się Mickey odezwie.

– Dani świetnie się bawi – powiedziała Mickey.

Jack udał, że zbudziła go z drzemki. Otworzył oczy, poruszył się i... już niemal dotykał ramieniem ramienia Mickey. Zdrętwiała, ale się nie odsunęła.

– Dani kocha wodę – powiedział. – Zawsze ją uwielbiała. Mickey oparła policzek na jego ramieniu i westchnęła cicho.

Jack zamarł.

– Jesteś taki ciepły – szepnęła. – A ja strasznie marzną.

– Chętnie cię ogrzeję – powiedział ostrożnie.

– Niestety, nie mogę przyjąć propozycji. Jeszcze nie jestem gotowa.

– Nie chodzi mi tylko o seks, Mickey. Jeśli potrzebujesz, żeby cię przytulić i nic więcej, moja propozycja pozostaje aktualna. Jesteśmy dorośli. Jakoś sobie z tym poradzimy.

– Nie kuś...

– Daj się skusić, trenerze. Wyobraź sobie, że jestem też tak samotny jak ty.

Przesunął palcem po jej policzku. Nachylił się i delikatnie ją pocałował.

– Pomyśl o tym – poprosił.

– Tatusiu!

– Co się stało, krasnoludku? – Jack zeskoczył z kamienia, jakby uciekał przed falą uczuć, która go chciała porwać.

– Jestem głodna.

– No to musimy iść do domu i przygotować kolację. Zjesz z nami? – zwrócił się do siedzącej bez ruchu Mickey.

– Naprawdę mogę? – zapytała półprzytomnie, jakby nagle zbudzona ze snu.

– Jasne. Przyjdź za godzinę. Czekamy.

Jack pomógł Dani włożyć kwiecistą sukienkę i zapiął jej sandałki. Śpiący dotąd na słońcu Pchełka poderwał się gwałtownie, w każdej chwili gotów do zabawy. , – Żadnych zobowiązań – powiedział na odchodnym Jack. – Masz moje słowo.

– Zastanowię się. – Mickey pokiwała głową.

Patrzyła, jak oboje wdrapywali się na górę. Jack ostrożnie, Dani biegiem, a Pchełka – krążąc pięć razy tam i z powrotem.

Rozdział 6

Śliczny i przytulny domek dla gości nawet się nie umywał do dużego domu. Jack mówił o nim „chatka z bali w rustykalnym stylu”, tymczasem była to olbrzymia willa utrzymana w stylu z czasów gorączki złota.

Gold Creek było pięknie położone w miejscu, gdzie porośnięte potężnymi dębami wzgórze zmieniają się w góry, na których zboczach wyrosły olbrzymie i pachnące sosny i cedry. Zapewne dlatego w miasteczku roiło się od ludzi, którzy porzucili wielkie miasta w poszukiwaniu spokojnego życia.

Ja też jestem takim uciekinierem, pomyślała Mickey, naciskając dzwonek.

– Dzień dobry – powiedziała grzecznie i bardzo oficjalnie Dani, która wraz z Pchełką otworzyła jej drzwi. – Proszę do środka.

Mickey podziękowała i weszła za obojgiem do wielkiego salonu z ogromnym oknem. Kominek z polnego kamienia, sosnowe meble, kute sprzęty i skórzane dodatki połączone z prostymi tkaninami sprawiały, że pokój był przytulny, choć jednocześnie doskonale komponował się z widocznymi za oknem górami. Właściwie trudno było na pierwszy rzut oka precyzyjnie określić, gdzie są góry, a gdzie salon. Oba światy przenikały się niewidocznie, tworząc idealną, harmonijną całość.

– Tatuś poszedł sprawdzić, czy mięso już się upiekło – oświadczyła Dani, kiedy uznała, że gość zdążył się już rozejrzeć po pokoju. – Mogę cię do niego zaprowadzić.

– Dziękuję, Dani. A gdzie jest twój pokój?

– Tam. – Dziewczynka wskazała paluszkami długi korytarz. – Chcesz zobaczyć?

– Przywitam się tylko z twoim tatą i zaraz obejrzę twój pokój, dobrze?

– Dobrze. Ja sama zdecydowałam, jakie mają być kolory. Tatuś mówi, że oczy go od tego bolą.

Mickey uśmiechnęła się. Dani bardzo pięknie mówiła. Starannie dobierała słowa i bardzo dokładnie je wymawiała.

– Jest już twoja Mickey – oznajmiła Dani, kiedy weszły na olbrzymi taras.

– Cześć, moja Mickey. – Jack zamknął pokrywę gazowego grilla. – Cieszymy się, że nas odwiedziłaś.

Mickey sięgnęła do płóciennej torby, którą miała na ramieniu, i wyjęła z niej plastikową torebkę.

– Mam nadzieję, że lubisz herbatniki w czekoladzie – powiedziała, podając

Dani torebkę. – Przyniosłam je na deser.

– Dziękuję. Bardzo lubię. – Dani chwyciła torebkę obiema rączkami. – Połóżę je na talerzu. Zmykaj, Pchełko! To nie dla ciebie.

Dani uciekała przed ciekawskim psiakiem. Długi warkocz obijał się jej o ramionka.

Mickey wzięła głęboki oddech i wyciągnęła z torby czerwone jabłko. Podała je Jackowi.

– Nie nadgryzione – stwierdził, obejrzawszy je dokładnie.

– Jeszcze nie.

– Dobrze, trenerze. – Podrzucił jabłko do góry. – Zagramy według twoich reguł.

– Naprawdę chcesz mi aż tak ułatwić życie?

– Ułatwić, utrudnić, co wolisz. Potrafię się dostosować. – Spojrzał na nią wyzywająco, aż ciarki przeszły Mickey po plecach.

– Nie rób tego – powiedziała.

– Czego?

– Nie patrz na mnie w ten sposób.

– W jaki sposób, moja Mickey?

– Jak... Jak...

– Jak mężczyzna, który pożąda pięknej kobiety? A może wolałabyś, żebym skrywał swoje uczucia i kazał ci się zastanawiać, czy cię lubię, czy nie? Ja wolę, żebyś wiedziała, co do ciebie czuję. Dzięki temu będziesz mogła podejmować świadome decyzje.

Boże mój, znów czuję się jak kobieta, pomyślała zdumiona Mickey. Kupiłam sobie nawet nową bieliznę.

Jack skrzyżował ręce na piersi, oparł się o poręcz tarasu i obserwował malujące się na twarzy Mickey uczucia. Najpierw się zawstydzila, potem zrobiło się jej przyjemnie, a w końcu spuściła głowę. Podeszła do niego i oparła łokcie o poręcz. Jack z przyjemnością patrzył na jej smukłą szyję, na piękny dekolt i na widoczne spod bawełnianej bluzeczki różowe, koronkowe ramiączko. Tym go zaskoczyła. Spodziewał się zwykłej, białej bielizny.

– Masz piękny ogród i wspaniały widok z okna – powiedziała.

Ten, który podziwiam, też jest śliczny, pomyślał Jack.

– Nie mogę się na to wszystko napatrzeć – przyznał, spoglądając na góry.

– Ja natychmiast dałam się na to złapać – zwierzyła się Mickey. – Przez całe życie mieszkałam w dużym mieście. Tu jest prawdziwy raj, choć z początku trudno się było do tego przyzwyczaić. Żadnych ludzi ani samochodów, tylko woda, las i

zwierzęta. Czasami nawet trochę tu straszno.

– Gotowe – powiedziała Dani. Podeszła do ojca i przytuliła się do jego nogi.

Jack podniósł dziewczynkę, posadził na poręczy i objął ramieniem.

– Postawiłaś na stole jeszcze jedno nakrycie? – zapytał.

– Tak. I położyłam te ładniejsze serwetki, tak jak mi kazałeś.

– Dziękuję, krasnoludku. – Jack zerknął na Mickey, a ona się do niego uśmiechnęła.

– Czy mogę wam w czymś pomóc? – zapytała.

– Wszystko już gotowe, tylko kurczak musi się jeszcze chwilę popiec. Jeśli masz ochotę, to Dani oprowadzi cię po domu.

– Najpierw pokażę jej mój pokój – oświadczyła Dani. – Powiedziała, że chce go zobaczyć.

– Dobrze, idźcie. Potem weźcie sobie coś do picia. Kiedy wrócicie, obiad będzie gotowy.

Dani podała gościowi rękę i zaprowadziła Mickey do swojej sypialni. Kolory były tu rzeczywiście niesamowite: fuksja, neonowa zieleń i jasny błękit. Pokój tętnił życiem. Narzuta na łóżku była skotłowana od skakania, na półkach piętrzyły się książki i zabawki, a w otwartej szafie, na poziomie oczu Dani, wisiało mnóstwo kwiecistych sukienek. Było tam także biurko z krzeselkiem, sztalugi i fort z kartonów przykryty starym kocem. Istny dziecięcy raj.

Mickey uśmiechnęła się. Spodobało jej się, że rzeczy nie są tu równiutko poukładane. W tym pokoju dziecko mieszkało naprawdę, a nie tylko bywało tu od czasu do czasu.

– Czy chciałabyś zobaczyć pokój mojego tatusia?

– Poczekam, aż sam mi go pokaże. Dobrze?

Mickey wolałaby, aby pokój Jacka wyglądał na odwiedzany, a nie stale użytkowany. Nie sądziła, żeby skakał po łóżku, lecz mógł je przecież z kimś dzielić. Nie chciała, żeby jakąkolwiek kobietę darzył czułością i namiętnością. Nie chciała, żeby patrzył na którąś tymi swoimi palącymi oczyma.

Wiem, że nie mam prawa tak myśleć, zreflektowała się. Jack żył dotąd beze mnie i jakoś dawał sobie radę. Był mężem pięknej, młodej kobiety, która porusza się jak tancerka. A ja jestem zwykłym zabijaką. Tak przynajmniej powiedział Jack. No tak, ale powiedział także, że jestem seksowna. Może dlatego mu się podobam, że jestem kompletnym przeciwieństwem Stacy?

Po kolacji wszyscy troje poszli na spacer. Pchełka biegał wokół nich jak

oszały. Od każdego po kolei domagał się pieśczoć, pewnie jako zadośćuczynienia za to, że na czas obiadu wyrzucono go z domu.

– Umyj zęby i maszeruj do łóżka – powiedział Jack do Dani, kiedy wrócili.

– Naprawdę muszę? Chcę jeszcze zostać z tobą i z Mickey.

– Mickey jeszcze nieraz do nas przyjdzie.

– Ty też możesz mnie czasami odwiedzić, Dani – dodała Mickey. – Oczywiście, jeśli tata ci pozwoli.

– Fajnie! – ucieszyła się dziewczynka i wybiegła z pokoju.

– Doskonale sobie z nią radzisz – powiedziała Mickey, gdy tylko zostali sami.

– To akurat jest proste. – Jack się do niej uśmiechnął. – Dani przychodzi do mnie tylko od czasu do czasu. Kiedy sama chce albo kiedy nam obojgu to odpowiada. Staram się pracować, mimo że jest u mnie dziecko. Ona zresztą także ma tu swoje obowiązki. Chcę, żeby to był prawdziwy dom.

– Czy zawsze otrzymujesz to, co chcesz dostać? – zapytała żartobliwie Mickey.

– Gdyby tak było, to już dawno wiedziałbym, jak się nazywasz i nie zaczęlibyśmy naszej znajomości dopiero teraz.

– A gdyby tak się stało, to jak wyglądałby wówczas dzisiejszy wieczór?

– Przede wszystkim siedziałabyś koło mnie, a nie na drugim końcu kanapy. I nie bałabyś się mnie dotykać.

– Uważasz, że się boję? – zamyśliła się Mickey. Wyciągnęła rękę tak daleko, że aż dotknęła palcami dłoni Jacka. – Ja się nie boję.

– Wobec tego jesteś zbyt ostrożna.

– Wy tłumacz, co rozumiesz przez słowo „zbyt”.

– To, że, jak na moje potrzeby, przyzwyczajasz się do mnie za wolno. – Jack ściszył głos do uwodzicielskiego szeptu. – To, że się staram niczego ci nie narzucać, choć jest to bardzo trudne. Cierpliwość nigdy nie była moją zaletą.

– Dziwne – westchnęła Mickey. Ich palce splotły się i tak już zostały. – Zdawało mi się, że masz niewyczerpane pokłady cierpliwości.

– Pewnie dlatego, że właśnie nad tym pracuję. Przechodzę kryzys wieku średniego.

– Powiedziałeś to tak, jakbyś był z siebie dumny.

– Bo jestem. Dobrze wiem, z czym mam do czynienia. – Jack gładził kciukiem wnętrze dłoni Mickey. – Sporo o tym czytałem. Okazuje się, że mam wszystkie klasyczne objawy kryzysu osobowości: niepokój, niezadowolenie z siebie, pragnienie czegoś więcej... Nie walczę z tym, tylko podążam za swoim pragnieniem, choć nie wiem, dokąd mnie ono zaprowadzi.

Determinacja, z jaką podejmował wyzwanie, zjednała mu sympatię Mickey. Jack zyskiwał przy bliższym poznaniu. Nie pomyliła się więc. Nie wymyśliła sobie tej głębi, którą w nim zauważyła, kiedy grał na boisku.

– Podziwiam cię – powiedziała, udając, że pieszczota, jaką ją obdarzał, nie robi na niej najmniejszego wrażenia.

– Wolałbym, żebyś mnie pożądała – szepnął namiętnie.

– Myślisz, że tak nie jest?

Jack zamknął jej dłoń w swojej. Patrzyli sobie prosto w oczy.

– Już jestem! – oświadczyła Dani, przerywając napiętą ciszę. Oczekała chwilę, aż dorośli zauważą jej obecność, i dopiero do nich podeszła. Ojcu podała szczotkę do włosów, a Mickey wręczyła książkę. – Przeczytasz mi bajkę na dobranoc? Jak mi tatuś wyszczotkuje włosy?

– Z przyjemnością – odrzekła Mickey. – Cieszę się, że mnie o to poprosiłaś.

Dani usadowiła się Jackowi na kolanach. W różowej piżamce wyglądała jak aniołek, a kiedy się uśmiechnęła, pokój rozjaśnił się niebiańskim blaskiem. Jack rozplótł jej warkocz i, żartując, szczotkował długie włosy Dani.

Mickey nie mogła oczu oderwać od tego pełnego czułości mężczyzny, który całym sercem kochał swoją córeczkę. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jego małżeństwo się rozpadło, ani jak to się stało, że tak przykre doświadczenie nie pozostawiło w nim ani kropli goryczy.

– Tam zawsze czytamy – przerwała jej rozmyślenia Dani. Pokazała paluszkiem ogromny fotel, obok którego stała lampa.

Mickey podeszła do fotela. Włączyła światło i zagłębiła się w miękkie poduchy. Dani wdrapała się jej na kolana. Oparła główkę na piersi Mickey i otworzyła książeczkę.

Mickey wstrzymała oddech. Tak bardzo się bała, że włosy Dani będą pachnieć szamponem dla dzieci, takim, jakim pachniały włosy Banie. Bała się, że jeśli tak będzie, jej serce rozpadnie się na drobne kawałki.

Zamknęła oczy i wciągnęła powietrze. Włosy Dani pachniały jak zielone jabłko. Teraz Mickey mogła spokojnie przeczytać historię myszki, która była uczulona na ser.

Jack przyglądał się tej scenie i uważnie słuchał. Znał tę bajkę na pamięć. Czytał ją co najmniej ze dwadzieścia razy, bo właśnie tę książeczkę Dani sobie ostatnio szczególnie upodobała. A jednak Mickey czytała ją zupełnie inaczej: modulowała głos, zmieniała go w zależności od tego, która z osób właśnie się odzywała. Widział, że Dani ta odmiana podoba się co najmniej tak samo jak jemu. Widział

także, że Mickey czytanie bajki też sprawia radość, choć z początku, kiedy tylko Dani usadowiła się jej na kolanach, tak dziwnie się zachowywała. Ale potem całkiem się rozluźniła.

Bajka się skończyła, Dani jednak wcale nie miała ochoty iść do swego pokoju. Próbowała ubłagać ojca, żeby pozwolił jej jeszcze choć trochę zostać z dorosłymi.

– Nic z tego – sprzeciwił się stanowczo Jack. – Powiedz Mickey dobranoc i zmykaj do łóżka.

– Lubię cię, wiesz? – Dani mocno przytuliła się do Mickey.

– Ja też cię lubię. – Mickey pochyliła głowę i serdecznie uściskała dziewczynkę. – Dziękuję ci za przemiły wieczór.

Dani wstała i podbiegła do Jacka, który zaraz wziął ją na ręce i zaniósł do dzieciennego pokoju.

Kiedy wrócił, Mickey stała na tarasie i patrzyła na wieczorne niebo. Stał za jej plecami i oparł dłonie o balustradę.

– Przeszkadzam ci? – zapytał cicho.

– Nie – powiedziała.

Przysunęła się do niego. Wzięła Jacka za rękę i owinęła ją sobie dokoła talii. Druga jego ręka dołączyła tam już bez pomocy Mickey. Zanim dobrze zastanowiła się nad tym, co robi, odwróciła się, zarzuciła Jackowi ręce na szyję i przytuliła twarz do jego piersi.

– Czy rozpuszczasz czasem włosy? – zapytała, podniósłszy do góry głowę.

– Tylko kiedy biorę prysznic.

– To po co je zapuszczałeś?

– Mają mi przypominać o tym, że powinienem żyć na luzie i cieszyć się życiem – wyznał Jack po chwili wahania.

– Jak to możliwe, skoro ich nie widzisz i nie czujesz nawet, jak ocierają się o twoją skórę.

– Uważasz, że to głupie – bardziej stwierdził, niż zapytał. Zrobił taki ruch, jakby chciał się odsunąć od Mickey.

– Nie. Chciałabym zobaczyć, jak wyglądają rozpuszczone. – Podniosła dłonie do góry. – Mogę?

Jack nie odezwał się ani nie poruszył. Mickey ostrożnie zdjęła gumkę przytrzymującą jego włosy i założyła ją sobie na rękę.

– Są takie miękkie i gęste – powiedziała zachwycona, przeczesując palcami ciemne włosy Jacka. – Teraz już rozumiem, dlaczego mężczyźni lubią, kiedy kobieta ma długie włosy. A u mężczyzny także budzą pożądanie...

Mało brakowało, a głośno powiedziała by to, co sobie pomyślała: że długie włosy mężczyzny, tego mężczyzny są takie podniecające.

– Chyba zapuszczę włosy – westchnęła.

– Nie rób tego – poprosił Jack. – Jesteś doskonała. Pochylił się i pocałował ją w usta. Jego włosy okryły twarz Mickey ciemną kurtyną, oddzielając ją od świata. Nie myśl, nakazała sobie Mickey. Błagam, nie myśl o niczym, tylko ciesz się tym, co przeżywasz.

Jack trochę się zdziwił, bo Mickey nie tylko się nie cofnęła, nie tylko poddała się pieścizocie, ale zachowywała się tak, jakby także pragnęła.

– Proszę... proszę... – mruzczała, jakby na potwierdzenie jego domysłów.

Przytulił ją do siebie, całował i pieścił tak, jak tego chciała. Miał ochotę zdjąć z niej koszulkę, patrzeć na jej piękne ciało i dotykać go bez żadnych ograniczeń. Niestety, Dani spała w pokoju obok i Jack wolał nie wyobrażać sobie, co by się stało, gdyby się przypadkiem obudziła.

Mickey odsunęła go od siebie i Jack w myślach podziękował jej za to, że potrafiła nad sobą zapanować. Nie wiedział jeszcze, jak bardzo się pomylił. Mickey umieściła jego dłonie pod swoją bluzką. Nie miał wątpliwości, czego się po nim spodziewała. Zaczął pieścić jej kształtne piersi. Najpierw delikatnie, a kiedy poczuł, że dłonie Mickey wsuwają się pod jego koszulkę, całkiem się zapamiętał. Ostatnim wysiłkiem woli nakazał sobie natychmiast przestać, odsunąć się jak najdalej od tej dziwnej kobiety, ale rozpalone ciało odmówiło mu posłuszeństwa.

Całował Mickey i nie rozumiał, dlaczego właśnie jej tak bardzo pragnął, bardziej może niż wody i powietrza.

– Czy ty się ożenisz z Mickey, tatusiu?

Mickey i Jack odskoczyli od siebie w tej samej chwili.

– Co ty tu jeszcze robisz, Dani? – zapytał Jack z całą surowością, na jaką było go w tej chwili stać.

– Pchełka chrapie – tłumaczyła się Dani. – Czy Mickey będzie tu mieszkać? Powiedziałeś, że jeśli spotkasz...

– Zaraz go stamtąd zabiorę. A teraz zmykaj do łóżka, krasnoludku. – Popatrzył błagalnie na Mickey. – Nie odchodź, proszę. Zaraz wrócę.

Wrócił prawie natychmiast, ale Mickey już miała na ramieniu torbę.

– Nie odchodź – powtórzył Jack, podchodząc do niej. Odsunęła się od niego, ale nie uciekła, choć miała na to wielką ochotę.

– Jak myślisz, ile ona widziała? – zapytała.

– Niewiele. Zresztą to nie twoja wina.

– Za dużo odczuć na raz – szepnęła Mickey. – Muszę już iść. Pozwól.

– Nie mogę cię odprowadzić do domu, kiedy Dani nie śpi. Proszę, zostań jeszcze chwilę. Porozmawiajmy.

Posadził ją na wiklinowej kanapie i sam także usiadł.

– O co jej chodziło, Jack?

– To ma związek z moim kryzysem. – Jack nawet nie próbował udawać, że nie rozumie pytania. – Dani musiała słyszeć, jak rozmawiałem z Drew i Stacy o tym, że chciałyby założyć rodzinę. Mam prawie czterdzieści lat, trenerze.

Mickey spuściła oczy. Wyznanie Jacka śmiertelnie ją przeraziło. Wiedziała, że powinna uciec od niego jak najdalej, ale nie mogła się nawet ruszyć.

– Ja tego nie chcę – powiedziała w końcu, z trudem hamując łzy.

– Wiem.

Teraz na niego spojrzała. Jack delikatnie pogłaskał ją po policzku.

– Tak bardzo chciałbym wiedzieć, dlaczego – wyszeptał. – Pragnąłbym wiedzieć, dlaczego twoje oczy tak często wypełnia smutek. Chcę ci pomóc. Nie broń się. Jeśli masz ochotę tylko się do mnie przytulić, to powiedz. Możesz się wypłakać na moim ramieniu.

– Nie kuś mnie. proszę, bo nigdy stąd nie odejdę.

– Ale ja nie chcę, żebyś odchodziła.

– Nie! – Mickey zerwała się jak oparzona. – Muszę przez to przejść sama. To dla mnie bardzo ważne.

– Szkoda, że mi nie ufasz – westchnął Jack.

– To nie jest kwestia zaufania. Ja muszę wyzdrowieć.

– Wobec tego proszę cię, żebyś pamiętała, że ja tu jestem.

– Dziękuję. – Mickey skinęła głową. – Ale teraz już sobie pójdę.

– Zaczekaj. Dam ci latarkę.

– Ja...

– Nie kłóć się ze mną – powiedział. – I psa też ze sobą weźmiesz.

– Ja...

– Weź to. – Wcisnął jej w rękę latarkę. Cierpliwość Jacka była na wyczerpaniu. Nie rozumiał, dlaczego Mickey tak zaciekle manifestuje swoją samodzielność.

– Wzięłam ze sobą swoją latarkę.

– To dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Próbowałam, ale mi nie pozwoliłeś. Jack zacisnął pięści.

– A niech to diabli! – wybuchnął.

– Czyżbyś już stracił do mnie cierpliwość? – zapytała Mickey.

– Jeszcze nie, ale mało brakuje.

Mickey dotknęła jego włosów, pogłaskała go po policzku. Wiedziała, że igra z ogniem, ale nie mogła się powstrzymać. Wzięła go za rękę i zsunęła gumkę do włosów ze swojego nadgarstka, podając ją Jackowi. Stała na palcach i delikatnie pocałowała go w usta. Jack przyciągnął ją do siebie i także pocałował, ale wcale nie delikatnie.

– Co za nieznośna baba – mruknął, zanim wypuścił ją z objęć. Odprowadzał wzrokiem snop światła latarki, towarzyszący Mickey w drodze do domu. Z początku słyszał, jak mówiła coś do Pchełki, ale po chwili nie widać już było ani światła, ani nie słychać było jej głosu. Przechylił się przez poręcz. Poczł na policzkach łaskotanie opadających włosów.

Straciłem panowanie nad sobą, pomyślał, chowając twarz w dłoniach. Jasne, że to wszystko przez nią, ale powinienem nad sobą panować. Przecież jest u mnie Dani! Mam nadzieję, że nie widziała niczego, czego taka mała dziewczynka widzieć nie powinna. Jak ja mogłem aż tak się zapomnieć! Jakby jakaś siła nas do siebie ciągnęła. A przecież ten związek i tak nie ma przyszłości. Każde z nas czego innego oczekuje od życia. Uciekłem do Gold Creek przed cudzymi problemami, a tymczasem ciągnie mnie do kobiety, która ma kłopoty tak wielkie, że nawet mówić o nich nie może.

Rozdział 7

Przez całe dwa dni udawało jej się nie tylko nie zadzwonić do Jacka, ale nawet nie iść nad strumień. Bała się, że mogłaby się z nim tam spotkać. Ani trochę jej nie dziwiło, że tamtego cudownego wieczoru straciła panowanie nad sobą. Minęło wiele lat, odkąd płonęła pożądaniem. Ale nie rozumiała, jak to się stało, że również Jack nie potrafił się opanować.

Całkiem niezłe zniosła jego nieobecność, aż do tego poranka, kiedy znalazła na progu domu bukiet fiołków i dołączoną do niego kartkę. Na kartce było napisane: „Kolacja dziś o osiemnastej trzydzieści. Włóż najpiękniejszą sukienkę. Zadzwoń do mnie, jeśli nie zechcesz przyjść. Jack”.

Wyjątkowo perfidny sposób zmuszania człowieka do osobistego lub choćby telefonicznego kontaktu, pomyślała Mickey. Powinna się na niego rozzłościć, ale zamiast tego wtuliła twarz w pachnący bukiet. Potem wstawiła kwiatki do wazonika, a wreszcie wsiadła do furgonetki i pojechała do odległego o godzinę drogi Sacramento. Nie miała żadnej sukienki, jeśli oczywiście nie liczyć dzinsowej spódnicy na szelkach, która leżała w jakimś pudle i z całą pewnością nie nadawała się do włożenia na uroczystą kolację.

Nie wiedziała, jak to się stało. Może nogi same ją tam zaprowadziły? Dość, że znalazła się w eleganckim butikiu Laury Ashley. Ciągnęło ją do tych wszystkich pięknych sukienek w kwiatki, z których każda była ozdobiona falbankami, a niektóre nawet prawdziwą koronką.

Westchnęła ciężko. W żaden sposób nie umiała wyobrazić sobie siebie w żadnej z tych cudownie pięknych, tak bardzo kobiecych kreacji.

– Mickey?

Odwróciła się zaskoczona. Obok niej stała Stacy i przyglądała jej się ze zdziwieniem.

– Cześć. Szukasz czegoś na prezent? – zapytała.

– Właściwie nie. – Mickey poczuła się nieswojo. – Po prostu się rozglądam.

– Chciałabyś coś takiego kupić dla siebie? – zdziwiła się Stacy.

Mickey wzruszyła ramionami.

– Masz randkę z Jackiem?

– Aha – przyznała niechętnie Mickey.

– Moim zdaniem nie powinnaś nosić tego rodzaju sukienek.

– A ty takie nosisz... – zaczęła Mickey i zaraz urwała zakłopotana.

– Rozumiem. – Stacy uśmiechnęła się domyślnie. – Mądrze to sobie

wymyśliłaś. Ale chyba zapomniałaś, że się rozwiedliśmy.

– Logiczne myślenie nie bardzo mi ostatnio wychodzi – przyznała Mickey. – Poza tym bardzo dziwnie się czuję, rozmawiając na ten temat z tobą.

– Posłuchaj, Mickey. Ja noszę sukienki dlatego, że dopóki nie poznałam Jacka, nigdy żadnej sukienki nie miałam. Przysięgam sobie, że po tych wszystkich latach noszenia używanych łachów zawsze już będę się ubierała tylko w piękne rzeczy. Naprawdę uważasz, że Jack jest taki małostkowy?

– Sama nie wiem, co o nim myśleć. Jestem trochę zakłopotana tym, co się ze mną dzieje...

– Czy Jack opowiadał ci o swoim bracie?

– Właściwie nie. – Mickey ta nagła zmiana tematu bardzo zdziwiła. – Tyle tylko, że Dani nosi imię właśnie po nim.

– Rodzice Jacka zginęli, kiedy miał siedemnaście lat. Dan miał wtedy siedem lat. Jack go wychował. Zrobiłby dla niego wszystko. Gdyby tylko pozwolono mu znaleźć się podczas wypadku w tamtym samochodzie zamiast Dana, to by za niego zginął.

– Wiem, że Jack jest bardzo dobrym człowiekiem – wtrąciła ostrożnie Mickey. Wciąż nie rozumiała, po co Stacy jej to wszystko mówi.

– Dobry to mało powiedziane. Jest lojalny i uczciwy do szpiku kości i bardzo poważnie traktuje wszelkie zobowiązania. Nadszedł wreszcie czas, żeby i on miał coś z życia. A on chce być z tobą. Jeśli choć trochę ci na nim zależy, to daj mu odrobinę szczęścia. Bardzo cię o to proszę.

– Nie wiem, czy potrafię tak postępować, żeby ani jego, ani siebie nie skrzywdzić.

– Postaraj się. Może się okazać, że twoje problemy nie są wcale aż takie wielkie.

Mickey zamyśliła się.

– Pomożesz mi wybrać sukienkę, która by go rzuciła na kolana? – zapytała po chwili.

– Nie pożałujesz tego. – Stacy uściskała ją serdecznie.

– Mam nadzieję – mruknęła Mickey.

Jack od dziesięciu lat nie był na randce. Co najmniej. Najpierw wychowywał brata, potem pracował na sukces zawodowy, a później musiał chronić Stacy.

Kolacja u niego w domu byłaby znacznie mniej stresująca, ale obawiał się, że po tym, co zaszło między nimi kilka dni temu, Mickey nie przyjęłaby ponownego

zaproszenia. Jack nie mógł odżałować, że powiedział jej, czego chce od życia.

Westchnął ciężko. Nawet najtrudniejsze sprawy sądowe, w jakich uczestniczył, wydawały mu się teraz drobiazgiem w porównaniu z wieczornym spotkaniem.

Zatrzymał samochód przed domkiem Mickey. Spojrzał w lusterko i poprawił nienagannie zawiązany krawat. Wysiadł ze swego dżipa, podszedł do drzwi... Otworzyły się, zanim zdążył zapukać. Oniemiał. Mickey wyglądała jak... jak Kopciuszek wystrojony przez dobrą wróżkę. Z jej uszu zwisały lśniące, złote gwiazdeczki, a sukienka przylegała do kształtnego ciała jak druga skóra. Jej kreacja miała kolor zgaszonej zieleni, głęboko wycięty dekolt i kloszową spódnicę, która kończyła się kilka centymetrów nad kolanem, ukazując piękne nogi Mickey. Wysokie obcasy pantofli sprawiły, że była prawie tego samego wzrostu co Jack.

– Cześć – powiedziała.

Jack zauważył, że ręce jej drżą i w ogóle jest bardzo spięta. Tak samo jak on. Trochę go to pocieszyło.

– Cudownie wyglądasz – przyznał. – Możemy jechać? Mickey podeszła do samochodu. Jack z podziwem patrzył na jej kołyszące się biodra. Kompletnie go zaskoczyła. Dotąd widywał ją wyłącznie w luźnych bluzkach. No, z wyjątkiem tej chwili, kiedy widział ją nagą, ale to się nie liczy. Tym razem miała na sobie sukienkę, która zmuszała do myślenia o tym, co kryje się pod spodem.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Mickey, kiedy ruszyli.

– Do Lode House. Wolałabyś gdzie indziej? – dodał, widząc jej zdziwioną minę.

– Nigdy tam nie byłam, ale opowiadano mi o tym miejscu. Zdaje się, że trochę za elegancko się ubraliśmy.

– Mają tam także gabinety. Zarezerwowałem jeden dla nas. Jack specjalnie wybrał na ten wieczór restaurację w starym wiktoriańskim hotelu. Sądził, że jeśli znajdzie się z Mickey sam na sam, będzie znacznie mniej zakłopotany, niż gdyby siedzieli w pełnej ludzi sali. A może źle zrobiłem? pomyślał. Co będzie, jeśli jej się tam nie spodoba?

– Nie chcesz jechać do Lode House? – zapytał.

– Oczywiście, że chcę. Tylko mnie zaskoczyłeś.

Mickey spodziewała się, że będą przebywać między ludźmi, tymczasem Jack tak to wymyślił, że będzie musiała zostać z nim sam na sam. Będzie patrzył tylko na mnie, myślała. A jeśli zauważy, jak źle się czuję w roli normalnej kobiety, która uwielbia nosić suknie i jadać kolacje w drogich restauracjach?

Odkąd Jack opowiedział jej o swoim kryzysie wieku średniego i o tym, do

czego dąży, zastanawiała się, czy powinna natychmiast uciec, czy raczej uchwycić się go jak ostatniej deski ratunku.

– Na pewno chcesz? – dopytywał się, jakby odgadł jej myśli. – Możemy przecież wybrać inne miejsce.

– Nie, naprawdę chcę. Nie musisz zmieniać planów. Przez całą drogę właściwie milczeli. Usiłowali wprawdzie rozmawiać o pogodzie i o tym, w jakiej pięknej okolicy zamieszkali, ale nawet to im się nie udało. Dobrze, że Jack włączył muzykę. Przynajmniej cisza nie dzwoniła im w uszach.

Wreszcie dojechali do restauracji. Weszli do niej bocznymi drzwiami, omijając pełną gości dużą salę. Poprowadzono ich długim korytarzem do przytulnej salki. Stół był pięknie nakryty: srebra, kryształ, porcelana i... leżące w rogu różowe stokrotki.

Mickey przymknęła oczy. Drżała jak osika. Udawaj, że ich nie widzisz, powtarzała sobie w myślach. To tylko kwiaty. Zwykle różowe kwiaty.

Jack zajął miejsce naprzeciw Mickey. Kelner zapytał, czy mają ochotę na drinka.

– Co się stało, Mickey? – spytał Jack, bo nie odpowiadała, tylko w milczeniu wpatrywała się w stół. – Dobrze się czujesz?

– Jasne. – Gwałtownie uniosła głowę i uśmiechnęła się do niego promiennie. Była blada jak śmierć.

– Napijesz się czegoś przed jedzeniem?

– Proszę o białe wino – powiedziała bez namysłu.

– Dla mnie to samo – dodał pośpiesznie Jack, chcąc, żeby kelner już sobie poszedł.

Gdy tylko za kelnerem zamknęły się drzwi, Mickey zerwała się na równe nogi.

– Zobacz, jakie piękne lampy – powiedziała, wskazując stojące na kominku lampki z kloszami w kształcie tulipanów.

Jackowi do głowy by nie przyszło, że Mickey może się zachwycać czymś tak banalnym jak te lampy. Zauważył, że podeszła do stołu i pośpiesznie chwyciła leżący na nim bukiet stokrotek.

– Będą ślicznie wyglądały pomiędzy tymi lampkami – zawołała entuzjastycznie. Położyła stokrotki na kominku, odwróciła się do niego plecami i usiadła z powrotem przy stole, po czym zajęła się starannym układaniem sobie na kolanach serwetki. – Nie lubię, jak na stole jest zbyt dużo dekoracji – wyjaśniła zdumionemu Jackowi.

Z trudem powstrzymał się od zadania pytań, na które zresztą i tak by mu nie

odpowiedziała.

– Czy jeszcze coś powinienem o tobie wiedzieć? – zapytał tylko.

Ależ ze mnie marny kompan, pomyślała Mickey. Najpierw ubrałam się jak słodka idiotka i niewiele brakowało, a by mnie nie poznał, a potem o mało nie zemdlalam z powodu jakichś idiotycznych kwiatków. Zdziwię się, jeśli jeszcze kiedykolwiek dokądkolwiek mnie zabierze. I on twierdzi, że nie jest cierpliwy? No cóż, jedyna pociecha w tym, że teraz może być już tylko lepiej.

A jednak okazało się, że może być jeszcze gorzej. Minęło czterdzieści koszmarnych minut, podczas których pochłaniali zamówione przez siebie dania w takim tempie, jakby od miesięcy nic w ustach nie mieli. W ogóle ze sobą nie rozmawiali, nie mówiąc już o takich ekscesach jak śmiech. Mickey co chwila ukradkiem zerkała na zegarek. Nie mogła się nadziwić, że czas aż tak się wlecze. Doskonale wiedziała, że to wyłącznie jej wina. Od początku wszystko popsuka, ale miała jeszcze nadzieję, że uda jej się coś naprawić. Zastanawiała się właśnie, od czego by tu zacząć rozmowę, kiedy Jack złożył serwetkę i położył ją na stole.

– Mam wrażenie, że powinienem cię odwieźć do domu – powiedział.

Pryśły wszelkie nadzieje na uratowanie zmarnowanego wieczoru. Pozostała jeszcze tylko ta jedna, że Jack da się namówić na kawę u niej w domu i wszystko jakoś się między nimi ułoży.

Jack podał jej ramię. Mickey spojrzała na niego ponuro. Z ciężkim westchnieniem oparła się na jego ramieniu. Wolałaby, żeby po prostu wziął ją za rękę.

Dobrze że ta randka zaraz się skończy, pomyślała.

– Jack! – zawołał ktoś, kiedy przechodzili przez zatłoczoną ogólną salę.

Był to Scott Lansing. Obaj mężczyźni przywitali się i Jack jakby zapomniał o tym, że ma na sobie elegancki garnitur, wobec czego powinien zachowywać się jak dżentelmen, który połknął kij od szczotki. Mickey znów miała przy sobie dawnego Jacka.

– Grasz? – zapytał Scott, widząc, że Mickey zerka na stół bilardowy.

– Jasne.

– Zamówiliśmy sobie na wieczór stół. Może się do nas przyłączyć? – zaproponował Scott.

– Właśnie wychodziliśmy – powiedział szybko Jack. Nawet nie spojrzał na Mickey, toteż nie zauważył malującego się na jej twarzy rozczarowania.

– Widzę, że Mickey ma ochotę zostać – wtrącił się Scott. Jack za to miał ochotę jak najszybciej odwieźć Mickey do domu. Randka skończyła się kompletną klapą.

Jack czuł się jak mały, który znalazł się o niewłaściwej porze w niewłaściwym miejscu. Nie wiedział, co powiedzieć ani jak się zachować. A przecież był adwokatem i, czego jak czego, ale języka w gębie nigdy nie zapominał. Nie rozumiał, dlaczego wówczas, kiedy tak bardzo mu zależało na zrobieniu dobrego wrażenia na Mickey, musiało mu zabraknąć słów.

Chciał wracać do domu, ale jedno spojrzenie na Mickey uświadomiło mu, że ona nie ma na to ochoty. Jack zrobiłby teraz wszystko, żeby uratować ten prawie stracony wieczór.

– Chciałabyś zagrać? – zapytał. Mickey skinęła głową.

– To nasz stół – wyjaśnił Scott. – Zaraz przyniosę kule.

Siedzący wokół stołu ludzie ścieśnili się, żeby zrobić im miejsce. Dokonano prezentacji, a Jacka zmuszono do zdjęcia krawata i marynarki. Podwijając rękawy koszuli, patrzył, jak Mickey zmienia się z powrotem w kobietę, którą znał i lubił.

Jego radość trwała niecałe dziesięć minut, dokładnie tyle, ile potrzebowała para grająca w bilard na dokończenie swojej kolejki. Mickey nachyliła się nad stołem, żeby ułożyć kule do następnej rozgrywki i jej sukienka uniosła się do góry. Jackowi dech w piersi zaparło. W pobliżu bilardowego stołu rozległy się pełne podziwu męskie westchnienia. Jack kątem oka zauważył dwie kobiety, które gwałtownie zajęły swoich towarzyszy rozmową, chcąc odciągnąć ich uwagę od Mickey.

A niech to diabli porwą! pomyślał rozgniewany Jack. No nic, przynajmniej Mickey dobrze się bawi. O ile ją znam, to nawet nie wie, jaki widok sobą przedstawia, kiedy tak się pochyla nad tym przeklętym stołem.

Wkrótce okazało się, że Mickey nie ma także zielonego pojęcia o tym, że mężczyzna do dobrego samopoczucia potrzebuje zwycięstwa. Za to o grze w bilard wiedziała więcej niż niejeden z obecnych. Wokół nich zebrał się spory tłum kibiców. Nie wszyscy podziwiali styl jej gry. Trzech młodych ludzi stanęło za plecami Mickey, spoglądając z ukontentowaniem na jej kształtne i prawie całkiem odkryte nogi. Jack wreszcie zrozumiał znaczenie pojęcia „zabójstwo w afekcie”. Mógłby gołymi rękami zabić albo co najmniej oślepić każdego faceta, który się na nią w ten sposób gapił.

Już miała uderzyć bilę. Spojrzała na Jacka. Patrzył na nią spode łba. Mickey tak się zdenerwowała, że ledwie musnęła bilę, która prawie nie ruszyła się z miejsca. Zawiedzeni kibice jęknęli.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło – uśmiechnęła się sztucznie Mickey. Jedno spojrzenie Jacka sprawiło, że cała jej pewność siebie ulotniła się natychmiast. –

Muszę i jemu dać trochę pograć.

Jack walił w bile z taką złością, że Mickey przestraszyła się nie na żarty. Był tak wściekły, że nie ustawił sobie porządnie ostatniej bili i dzięki temu Mickey miała szansę zakończyć grę sukcesem. Jasne, że z niej skorzystała.

– Ja gram ze zwycięzcą! – zgłosił się Scott.

– Już wychodzimy – powiedział Jack.

– Naprawdę? – Mickey była niepoczyszona. – Ja...

– Z samego rana mam wiele spraw do załatwienia. – Jack nie pozwolił jej dokończyć zdania.

– Rzeczywiście – przypomniał sobie Scott. – Jutro lecisz do Chicago.

– Ja też mam mnóstwo roboty. – Mickey uśmiechnęła się do Scotta fałszywie. – Greg Garcia prosił mnie o dodatkowe konsultacje. To mój uczeń. Pracuje na dwóch etatach i nie może regularnie przychodzić na zajęcia.

Dlaczego mi nie powiedział, że wyjeżdża? myślała rozgorączkowana. I dlaczego jest taki zły?

– Spotykasz się z uczniami w sobotę rano? – zapytał Jack z niedowierzaniem.

A niech to! Mickey denerwowała się coraz bardziej. Tak mnie otumanił, że zapomniałam że jutro jest sobota.

Uznała, że w tej sytuacji lepiej będzie udać, że nie słyszała pytania. Z godnością podniosła do góry głowę, podała kij Scottowi i wzięła ze stołu swoją torebkę. Głośno pożegnała się ze wszystkimi, po czym wyszła z lokalu. Jack dogonił ją dopiero / . a drzwiami.

– Co cię ugryzło? – zapytał.

– Nic. Poza tym, że takiej randki chyba nawet w piekle by nie wymyślili.

Na tym ich rozmowa się skończyła. Wracali do domu w absolutnym milczeniu. Na szczęście trwało to zaledwie kwadrans.

Mickey otworzyła drzwi samochodu, zanim Jack zdążył wyłączyć silnik. Wyskoczyła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Jack patrzył, jak idzie do domu. Lekko utykała.

– Mickey! – zawołał za nią.

– Co za cholerne buty! – zaklęła.

Zatrzymała się, żeby zdjąć pantofle i wtedy Jack ją dogonił.

– To wszystko przez tę twoją żonę! – krzyknęła Mickey. Miała łzy w oczach, ale Jack nie wiedział, czy płacze z bólu, czy ze złości.

– Stacy jest moją byłą żoną – poprawił ją. – Nie rozumiem, co ona ma z tym wspólnego.

– Kazała mi się ubrać... – Mickey urwała w pół zdania. Wiedziała przecież, że to, co mówi jest nieuczciwe. Stacy do niczego jej nie zmuszała, a Jack nie był winien temu, że ich randka się nie udała. – Nieważne. Dobranoc, Jack. Szczęśliwej podróży.

Zrobiła kilka kroków. Jęknęła. Ostre kamienie wbijały się w jej bosc stopy.

Jack wyrósł przed nią jak spod ziemi. Nie zdążyła się nawet zorientować, kiedy i jakim cudem zarzucił ją sobie na ramię.

– Co ty wyprawiasz! Masz mnie natychmiast puścić! – Mickey waliła go pięściami po plecach.

– Nie chcę, żebyś sobie zrobiła krzywdę – oświadczył stanowczo. – Dopóki nie znajdziesz się w domu, jesteś pod moją opieką.

– Śmiesz mnie ta twoja...

– Wiem, jestem staroświecki.

– Jesteś neandertalczykiem!

Żeby przytrzymać Mickey, Jack położył dłoń na jej pupie. Podziałało. Zamarła.

– Co jest, trenerze*? Odgryzłaś sobie język?

Jasne, że mogę mu odpowiedzieć, przekonywała samą siebie Mickey. W każdej chwili mogę się do niego odezwać, ale nie chcę. Nie chcę i kropka!

Dłoń Jacka zsunęła się po jej nodze w dół tylko po to, żeby po chwili wrócić na górę i spocząć na krągłym pośladku. Po chwili Mickey stanęła na werandzie.

– Ciekaw byłem, czy masz rajstopy, czy może pończochy – powiedział Jack, kładąc obie dłonie na jej biodrach.

– Teraz już wiesz – odparła po krótkiej chwili, jakiej potrzebowała, aby skoordynować poczynania rozumu z tym, co robiło jej ciało. Chyba nie całkiem się jej to udało, bo głosik miała cieniutki, zupełnie nieswój.

– Rajstopy – stwierdził rzeczowo. – I cienkie majteczki. Różowe, dodała w myślach. Chciałbyś zobaczyć?

Stali bardzo blisko siebie. Jack zsunął odrobinę ramiączko jej sukienki.

– A wiec jednak masz na sobie stanik. Trudno się było domyślić.

Też różowy, pomyślała Mickey. Możesz sobie popatrzeć.

– Dlaczego włożyłaś taką bieliznę? – dopytywał się Jack.

– Spodziewałaś się, że po kolacji zacznę cię rozbierać?

– Nie – wyszeptała. Dotknięcie palców Jacka na jej gołej skórze paliło żywym ogniem. Teraz już wiedziała, że on nigdy więcej nie zechce się z nią spotkać. Przecież bez przerwy go okłamywała.

– Twoje ciało mówi coś całkiem innego. – Jack patrzył na nią zadziwiony. –

Nie rozumiem, dlaczego to robisz. W jednej chwili się na mnie wściekasz, a zaraz potem kusisz.

– Ty tak na mnie działasz. – Mickey spróbowała się uśmiechnąć.

– A więc okazuje się, że to wszystko moja wina? – Jack pokręcił głową. – Nie wiem, o co ci dziś chodziło, ale wyglądałaś tak, jakbyś albo chciała kogoś pobić, albo iść z kimś do łóżka. Po mnie nie spodziewaj się ani jednego, ani drugiego. Nie dzisiaj.

Odwrócił się, a Mickey stała oniemiała i patrzyła, jak odchodzi. To, co powiedział, zupełnie do niego nie pasowało. Zawsze był taki delikatny. Mickey nagle zachciało się śmiać. A więc jednak stracił panowanie nad sobą, pomyślała rozbawiona.

Powodowana niezrozumiałym impulsem pobiegła za nim. Nie zwracała uwagi na kaleczące jej stopy ostre kamienie.

Jack wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi. Mickey na migi pokazała mu, że ma otworzyć okno. Widocznie się uparł, że będzie wszystko robił po swojemu, bo najpierw włączył silnik, a dopiero potem opuścił szybę.

– Nie dałeś mi buzi na dobranoc – poskarżyła się. Zaciśnął usta. Jego oczy pały gniewem.

Z płytkiego snu wyrwał ją dzwonek telefonu. Zanim podniosła słuchawkę, spojrzała na zegarek. Była druga w nocy.

– Jestem zazdrosny – usłyszała w słuchawce głos Jacka.

– Naprawdę? – zdziwiła się Mickey.

– Chciałem cię mieć tylko dla siebie, ale ty źle się czułaś w moim towarzystwie. Dopiero przy innych ludziach zaczęłaś się dobrze bawić. A kiedy graliśmy w bilard, faceci tak się na ciebie gapili... Czułem się niepotrzebny. Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie ten wieczór.

– Ja też nie jestem bez winy, Jack. Od początku wszystko robiłam nie tak, jak trzeba. Choćby ta koszurna sukienka... Nie wiedziałam, jak się zachować.

– Myślałem, że to będzie proste, a tymczasem okazało się bardzo męczące.

– Chyba oboje za bardzo się staraliśmy. – Mickey się uśmiechnęła.

– Byłem dziś zupełnie innym człowiekiem.

– Ja także. – Mickey położyła się i przeciągnęła. – Jak długo cię nie będzie?

– Dokładnie nie wiem, ale około tygodnia.

– Co zrobisz z Pchelką?

– Stacy zawiezie go do psiego hotelu.

– Czy on to lubi?

– Zwariowałaś? Wyje całymi dniami. . – To może zostawiłbyś go u mnie?

– Dziękuję. Pchełka będzie zachwycony. Możesz zamieszkać u mnie, jeśli tak będzie ci wygodniej.

– Źle bym się czuła...

– Stojąc nago w mojej łazience? – domyślił się Jack. – Mogłabyś spać w moim łóżku. Jest ogromne. Można się po nim co najmniej ze trzy razy przeturlać.

Mickey oniemiała z wrażenia.

– Spisz nago? – zapytał, zanim zdążyła się odezwać. – Bo ja tak.

Mickey wyobraziła sobie zupełnie nagiego Jacka rozciągniętego na ogromnym łóżku.

– Chciałbym, żebyś obejrzała ze mną kiedyś wschód słońca – mówił Jack, przerywając jej marzenia. – I żebyś pozwoliła podać sobie śniadanie do łóżka.

– O co chodzi z tym łóżkiem? Dlaczego jest aż takie duże? – dopytywała się Mickey.

– Chciałem, żeby cała rodzina mogła się w nim zmieścić w niedzielę rano, Proszę, nie przypominaj mi o tym, jęknęła w duchu Mickey.

– Czy tego właśnie najbardziej brakuje ci po rozwodzie? – zapytała.

– Nikomu nie może brakować tego, czego nigdy nie miał – odrzekł wymijająco.

– Muszę wyjechać o szóstej. Klucz od drzwi wejściowych włożę pod twoją wycieraczkę. Wypuść Pchełkę, kiedy się obudzisz.

– Dobrze.

– I przepraszam za to, co powiedziałem...

– Daj spokój. Miałaś rację.

Wiedziała o tym, zanim jeszcze położyła się spać. Chciała wytrącić Jacka z równowagi. Pragnęła nim potrząsnąć, sprawić, żeby stracił panowanie nad sobą. Dopięła swego.

– Szczęśliwej podróży, Jack – dodała.

Rozdział 8

Jack oparł łokcie o poręcz biegnącą wzdłuż jednej z przeszklonych ścian tworzących to pomieszczenie. Od dwóch godzin stał w obserwatorium Centrum Johna Hancocka i z wysokości dziewięćdziesięciu czterech pięter patrzył na Chicago.

Wygrał kolejną sprawę. Jak zwykle, genialnie poprowadził obronę i zakończył z powodzeniem jeszcze jeden niemożliwy do wygrania proces. Był kompletnie wyczerpany. Miał dość wysłuchiwanie cudzych narzekań, rozwiązywania problemów obcych ludzi i staczania bitew za innych. Jakby tego wszystkiego było mało, wspólnicy nalegali, aby już teraz podjął decyzję. Nie rozumieli, dlaczego nie ma ochoty zdeklarować się ostatecznie przed upływem uzgodnionego wcześniej rocznego terminu. Uważali, że tydzień to żadna różnica, a tymczasem ten tydzień mógł zmienić całe życie Jacka.

Spojrzał na zegarek. Zastanawiał się, która godzina jest teraz w domu. Odkąd to Gold Creek stało się moim domem? pomyślał zaskoczony. Jeszcze wczoraj nie zdawał sobie z tego sprawy. Spędził tam całe osiem miesięcy. Od podstaw budował dom, sam go wykończył, a jednak nie myślał o tym miejscu jak o domu, dopóki nie pojawiła się w nim Mickey. Nie mógł się doczekać powrotu. I nie przeszkadzało mu nawet, że Mickey także miała problemy.

Kiedy ostatni raz byłem w tym obserwatorium? zastanawiał się Jack. Ach tak, po egzaminie magisterskim. Byłem wtedy takim śmiesznym, pełnym entuzjazmu idealistą. Gdzie się podział zapal? Dopiero kiedy Stacy poprosiła o rozwód, zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem związany z moją pracą. Nawet nie zauważyłem, kiedy Dani z rozkosznego bobasa zmieniła się w małą panienkę. Nie mam pojęcia, kiedy upłynęły te lata. Teraz chciałbym wszystko zacząć od nowa i niczego nie stracić. Z Mickey?

Mickey moczyła nogi w strumieniu i myślała o tym, że bardzo jej brakuje Jacka. Od jego wyjazdu minęło jedenaście dni, dwie godziny i dwadzieścia jeden minut. Mniej więcej.

Przez cały ten czas Mickey zastanawiała się, jak długo jeszcze Jack z nią wytrzyma. Zdawała sobie sprawę z tego, że każdemu z nich na czym innym w życiu zależy. Ona dążyła do samodzielności, podczas gdy Jackowi marzył się stały związek.

Tego ranka, kiedy wyjechał, Mickey znalazła na werandzie zapas psich

konserw i karteczkę z napisem: „Jeśli ci się znudzi, zawieź psa do weterynarza (dołączam wizytówkę). Dziękuję za opiekę nad Pchełką. Jack”.

Na szczęście przestała się już denerwować nieudaną randką. Im bardziej się nad tym zastanawiała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że wszystko to było po prostu śmieszne. Szczególnie ta jej przemożna chęć wyprowadzenia Jacka z równowagi. Zrozumiała też, dlaczego tak bardzo jej na tym zależało. Jeśli brak cierpliwości był cechą charakteru Jacka, to Mickey chciała, żeby stał się niecierpliwy i zaczął być sobą.

Podczas swojej nieobecności Jack całkowicie przejął kontrolę nad kształtowaniem się ich związku, jeśli oczywiście to, co się z nimi działo, można było w ogóle nazwać związkiem.

Dzwonił do niej tylko wtedy, kiedy była w pracy. Po powrocie do domu odsłuchiwała z automatycznej sekretarki informacje o panującej w Chicago pogodzie i pytania o to, czy Pchełka jeszcze nie doprowadził jej do szału. O procesie ani o tym, kiedy ma zamiar wrócić, nie powiedział ani słowa. Swojego numeru telefonu też, oczywiście, nie zostawił.

Mickey wszystkie te wiadomości nagrywała na kasetę i potem wielokrotnie słuchała głosu Jacka w nadziei, że może w jego tonie znajdzie znaczącą informację, której nie chciał przekazać słowami.

Nagle Pchełka zaszczekał radośnie i jak strzała pomknął w górę zbocza.

– Cześć, piesku – rozległ się głos Jacka. – Stęskniłeś się za mną, staruszk?

Serce o mało nie wyskoczyło Mickey z piersi. Patrzyła na schodzącego po zboczu Jacka. Nie odrywał od niej oczu.

– Cześć, trenerze – powiedział, stając obok Mickey.

– Jak poszło, skarbie? – zapytała z udaną obojętnością. – Udało ci się zabić jakiegoś smoka?

– Widzę, że wyostrzyłaś sobie języczek. – Jack się do niej uśmiechnął. Nie spodziewał się, że widok Mickey sprawi mu aż taką przyjemność. Siłą powstrzymywał się, żeby jej nie dotknąć. Miał nadzieję, że jeśli trochę poczeka, to Mickey w końcu sama zrobi pierwszy krok.

– Ja tylko chciałam wiedzieć, czy nie zgubiłeś klucza od pasa cnoty. Mam taką paskudną wysypkę...

Jack głośno się roześmiał. Usiadł obok niej na kamieniu. Ucieszył się, kiedy zadrzała, gdy otarł się o nią ramieniem.

– Udało ci się? – zapytał. A kiedy spojrzała na niego zaskoczona, dodał, patrząc na strumień: – Złapałaś coś?

– Nie. Ani jednej rybki.

– Niemożliwe. Ciągłe wędkujesz, a nigdy jeszcze...

– Ja się dopiero uczę – przyznała, czerwona ze wstydu. – A ty nie łowisz? Nie widziałam cię z wędką.

– Bo ja tu przychodzę rano. Mam co najmniej dwa obiady z troci tygodniowo.

– A jak tam twój proces? – Mickey zmieniła temat. – Wygrałeś?

– Wygraliśmy – uśmiechnął się Jack i przytulił ją do siebie. Zadrzała.

– To... dobrze – wyjąkała.

– Dobrze, że wygraliśmy, czy dobrze, że cię przytuliłem?

– I jedno, i drugie – westchnęła Mickey. Jack pochylił się i pocałował ją w ucho.

– Tęskniłem za tobą, trenerze – powiedział cicho.

– Ja też za tobą tęskniłam.

Zaczęli się całować namiętnie, do utraty tchu. Jack pieścił delikatne ciało Mickey i ona także nie była mu dłużna. Mało brakowało, a byliby się kochali na brzegu strumienia. Na szczęście Jack w porę się opamiętał. No, może nie całkiem, ale przynajmniej próbował.

– Nie możemy tutaj... – szepnął.

– Wiem. – Mickey tuliła się do niego, stęskniona.

– Musimy przestać.

– To przestań. Ja nie mogę.

– Chodźmy do mnie – poprosił Jack.

W tej chwili Pchełka zaczął szczebrać jak oszalały i rzucił się do strumienia.

– Co... Co się dzieje? – Mickey pierwsza się ocknęła. – Boże! Chyba złapałam rybę! Co ja mam teraz zrobić?

Rzuciła się w kierunku wędki. Zdążyła jeszcze chwycić kij, zanim zsunął się za rybą do strumienia. Dopiero potem spojrzała na Jacka, który powoli wracał do rzeczywistości.

– Podetnij – powiedział zduszonym głosem.

– Co mam zrobić?

– Podciągnij kij do góry. Dobrze. Teraz zwijaj żyłkę. Tylko powoli.

– I co teraz? – Mickey zafascynowana patrzyła na miotającą się na haczyku rybę.

– Zdejmij ją z haczyka.

Jack z przyjemnością patrzył, jak podekscytowana Mickey drży z radości. Niezdarnie zdjęła rybę z haka i położyła rzucającą się troć na ziemi. Przykucnęła

przy niej i przyglądała jej się z ciekawością.

– No i co teraz?

– Zabij ją i wyczyść.

Zabić? przeraziła się Mickey. Mam zabić to żywe stworzenie? Nie potrafię. Zrobiło jej się niedobrze.

– Wypuśćmy ją – poprosiła.

– Jeśli nie umiesz jej zabić, to ja...

– Ja już jej nie chcę. Wypuśćmy ją, błagam...

– Dobrze. – Woda plusnęła, gdy ryba wróciła do strumienia. – Już jej nie ma.

– Czy... Czy ona żyje?

– Jasne.

– Co się z tobą dzieje, skarbie? – Jack położył dłoń na jej ramieniu.

– Przepraszam. – Mickey z trudem wydobyła głos ze ściśniętego gardła. – Nie mogę ci teraz niczego wytłumaczyć. Potem do ciebie zadzwonię.

Chciała uciec, ale i to jej się nie udało. Szła wolno pod górę, czując na sobie spojrzenie Jacka. Kiedy skryła się za drzewami, przystanęła na chwilę i oparła się o pień starego dębu.

Co się ze mną dzieje? pomyślała. Przecież co tydzień kupuję w sklepie rybę, którą ktoś złowił i zabił. Ktoś, ale nie ja. Życie jest zbyt cenne, żeby je świadomie niszczyć. To idiotyczne porównanie: moja córeczka i ta ryba. Głupie, głupie, głupie. Jak to wszystko wytłumaczyć Jackowi?

Rozdział 9

Mickey wyszła spod prysznicza. Wytarła się ręcznikiem. Spojrzała w duże lustro i aż syknęła. Na piersiach i na brzuchu miała przecież rozstępy. Maleńkie srebrne błyskawice, jedyna pamiątka, jaka jej została po Banie. Jak mogłam o tym zapomnieć? pomyślała.

Westchnęła zrezygnowana i owinęła się szlafrokiem. Postanowiła, że zaraz, jak tylko się ubierze, pójdzie do Jacka i wszystko mu wytłumaczy. W tej samej chwili na werandzie jej domku rozległ się odgłos kroków. Zapukano do drzwi.

Jack nerwowo przestępował z nogi na nogę. Miał ze sobą przybory wędkarskie Mickey – usprawiedliwienie nieoczekiwanej wizyty. Musiał ją zobaczyć. Pragnął zrozumieć, dlaczego tak dziwnie się zachowała. Nie mógł czekać ani chwili dłużej.

– Przyniosłem twoje rzeczy – oznajmił, kiedy otworzyła mu drzwi. Była przygębiona i po brzegi wypełniona swym tajemniczym bólem. Jak na początku ich znajomości.

– Nie chcę tego. Możesz je sobie zatrzymać.

– Dobrze. – Położył rzeczy na deskach werandy, ale się nie ruszył. Za to Pchełka czuł się u Mickey jak u siebie w domu.

– Musimy porozmawiać – powiedziała.

– Jestem do twojej dyspozycji.

Mickey wpuściła go do domu. Usiedli na wielkim siedzisku koło okna.

– Wiem, czego się po mnie spodziewasz – zaczęła, nie patrząc na niego. – Nie mogę ci tego dać.

– Ciekawe, czego, twoim zdaniem, ja się po tobie spodziewam.

– Jakiegoś stałego związku. To nie jest uczciwe. Powinnam cię kochać, ale nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze pokocham coś lub kogoś.

Nie pozostawało mu nic innego jak wstać i wyjść, ale Mickey była tak roztrzęsiona, że nie mógł jej w tej chwili zostawić. Nie mógł i nie chciał. Wziął ją za ręce, którymi kurczowo przyciskała brzuch, i przytrzymał je w swoich dłoniach.

– Mam ci tyle do powiedzenia – wyszeptwała. – Nie wiem, od czego zacząć.

Zapadła cisza. Jack odczekał chwilę, zanim zaczął mówić.

– Ja także muszę ci coś wyznać, choćby nie wiem ile miało mnie to kosztować – zaczął. – W sprawach z kobietami jestem właściwie nowicjuszem. Straciłem dziewictwo z moją koleżanką z pracy, kiedy miałem dwadzieścia dwa lata.

– Naprawdę? – Mickey spojrzała na niego po raz pierwszy, odkąd otworzyła mu drzwi.

– Byłem zapracowany i musiałem myśleć o Danie. Harowałem jak wół i jednocześnie studiowałem. Nie miałem czasu na dziewczyny. Przespałem się z tamtą kobietą dwa razy, ale wystarczyło, żeby mi zaostrzyć apetyt. Minęło pięć lat, zanim znów się z kimś związałem. Ona pracowała w biurze prokuratora okręgowego. Spotykaliśmy się tylko dla uczczenia wygranej albo żałoby z powodu porażki. Wydawało mi się, że jej taka znajomość odpowiada. Nigdy nawet słowem nie wspomniała, że chciałaby czegoś więcej. Do dnia, w którym zadzwoniłem do niej, żeby powiedzieć, że się żenię.

Mickey słuchała uważnie, choć niewiele z tego rozumiała.

– Wściekła się – ciągnął. – Przez wszystkie te lata sądziła, że nasz związek przerodzi się w coś bardziej trwałego. Poczułem się jak łajdak. Nie mogłem sobie darować, że tak niecnie ją wykorzystałem. Wiele czasu upłynęło, zanim zdołałem sobie wybaczyć. I dlatego potem już z nikim się nie wiązałem. Nie chciałem nikogo wykorzystywać i nie pragnąłem też, żeby mnie wykorzystywano.

– Spotykałeś się z tamtą kobietą, dopóki nie ożeniłeś się ze Stacy? – zapytała niepewnie Mickey.

– Tak.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. – Każdy, ale nie ty. Przecież nie mogłam się aż tak pomylić. Stacy... Dani...

– Jest córką mojego brata, Dana. Stacy była moją żoną tylko formalnie.

Mickey patrzyła na niego oniemiała.

– W dzisiejszych czasach już się takich rzeczy nie robi – powiedziała, kiedy wreszcie odzyskała głos.

– Jesteśmy żywym dowodem na to, że jednak się robi. . – Ale dlaczego? Po co?

– Dan i Stacy jechali właśnie do sędziego pokoju, żeby się pobrać, kiedy samochód wpadł w poślizg – mówił Jack, patrząc na zieleniejący za oknem las. – Dan zginął na miejscu, a Stacy była ciężko ranna. Dan mi o niej opowiadał, ale nigdy mi jej nie pokazał. No i nie wiedziałem, że jest w ciąży.

– Dlaczego zgodziła się zostać twoją żoną?

– Była sierotą...

– Wiem. Opowiadała mi o tym.

– Bała się, że zostanie sama, choć ten jej strach objawiał się wrogością i agresją. Przez całe życie musiała walczyć o przetrwanie i ze mną także walczyła. Bardziej zaciekle niż z kimkolwiek innym. Obiecałem, że będę utrzymywał i ją, i dziecko, ale ona przecież nie miała żadnego powodu, żeby mi uwierzyć. Wobec tego dałem jej swoje nazwisko i pewność, jakiej potrzebowała. W ten sposób

zapewniłem sobie także prawo do opieki nad Dani. Obiecałem jej jednak, że dam jej rozwód, kiedy tylko zechce. Spisaliśmy intercyzę. I jej, i dziecku zapewniłem dożywotnie zabezpieczenie materialne.

– A co by się stało, gdybyś ty się w kims zakochał?

– Ja byłem zakochany w pracy. Nie istniało dla mnie nic innego. A kiedy urodziła się Dani, ona stała się celem mojego życia. Była dla mnie wszystkim: moją przyszłością i przeszłością. Była ostatnia z mojej rodziny i pierwsza w moim życiu. Myślę, że to może zrozumieć tylko ktoś, kto sam ma dzieci. Rzuca się wszystko i na głowie się staje, żeby tylko dziecko było zdrowe i szczęśliwe.

Mickey ukryła twarz w dłoniach. Po chwili wstała. Wzięła z półki kasetę i włożyła ją do magnetowidu. Wróciła do Jacka i pilotem włączyła telewizor. Na ekranie pojawiła się Mickey w niebieskim szlafrocuku, siedząca na szpitalnym łóżku. Pielęgniarka podała jej różowe zawiniątko.

– Znam taką miłość, Jack – powiedziała Mickey. – To jest Banie, moja córeczka. Oddałabym wszystko, żeby ona była zdrowa i szczęśliwa.

Jack oderwał oczy od ekranu i spojrzał na Mickey. Uśmiechała się czule, zapatrzona w buzię swojego dziecka.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytał.

Mickey zamrugała powiekami, jakby dopiero co ją obudzono. Powoli odwróciła głowę.

– Umarła – powiedziała cicho.

– Boże mój! – wyszeptał Jack. – O Boże, Mickey. Tak mi przykro.

– Mnie też. Była dla mnie całym światem. – Mickey uśmiechała się do niego smutno. – Obejrzyj ze mną tę kasetę? Chciałabym, żebyś ją poznał.

Nie uroniła ani jednej łzy i nawet przytulić się nie pozwoliła. Komentowała to, co działo się na filmie, czasami wybuchała śmiechem, opowiadała o kolejnych osiągnięciach Banie: o przewracaniu się na brzuszek, o próbach siadania, o raczkowaniu.

– Dokumentalny zapis ludzkiego życia przerwane nagle, po ośmiu miesiącach, przez syndrom nagłej śmierci – powiedziała Mickey, gdy film się skończył. – Jednego dnia niemowlę jest zdrowe, a drugiego nie ma go już na świecie.

– Była do ciebie podobna – powiedział Jack. Pogłaskał Mickey po policzku, ale ona szybko wstała.

– Tak uważasz? Ja sama nie wiem.

Jack patrzył, jak wyjmuje kasetę i odkłada ją na miejsce. Robiła wszystko, byle

tylko nie musieć z nim rozmawiać. Wreszcie zrozumiał: Mickey bała się kogokolwiek pokochać, żeby znów nie stracić swej miłości. Nie chciała znowu cierpieć. Razem z dzieckiem pochowała swoje serce. Jack pomyślał, że on pewnie zrobiliby to samo.

Mickey w końcu do niego podeszła. Zaciskała dłonie na pasku szlafroka.

– Mickey. – Wyciągnął do niej rękę. – Chodźmy do łóżka, dobrze?

– Bardzo bym chciała – wyszeptała – ale boję się tego, co będzie potem. Nie chcę, żeby nasza znajomość za bardzo się skomplikowała.

– Nie rozumiem, o czym ty mówisz.

– Nie chcę się jeszcze z nikim wiązać. Może nigdy nie zechcę. Jack uznał, że nie będzie jej przekonywał. O takich sprawach człowiek musi decydować sam. Tym bardziej że on nie potrzebował kobiety na jedną noc, ale na całe życie. A jednak bardzo pragnął przytulić do siebie tę piękną istotę o smutnych oczach. Nie wytrzymał.

– Zgódź się, Mickey – poprosił. – Tylko dzisiaj. Od tej chwili do jutra rana. Dopóki nie wyjdiesz do pracy.

Zamknęła na chwilę oczy, jakby nie chciała, żeby Jack zobaczył, co w nich ukrywa.

– Bardzo mi na tobie zależy – powiedziała, spoglądając na Jacka. – Wierzysz mi?

– Gdybym ci nie wierzył, nie byłoby mnie tutaj.

– Pragnę cię, Jack.

Tak bardzo chciał usłyszeć wreszcie te słowa.

– Ja także cię pragnę. – Jack przytulił ją do siebie.

To był najdelikatniejszy pocałunek świata, ale w mgnieniu oka przekształcił się w istną burzę zmysłów.

– Tak bym chciał się nie spieszyć – westchnął Jack, odrywając się od jej ust dla zaczerpnięcia oddechu. – Nie wiem, czy mi się uda.

– Nieważne – szepnęła Mickey, głaszcząc go po policzku. – Niech to będzie tak, jak ty chcesz. Należymy do siebie. Aż do rana. Nie musisz prosić mnie o pozwolenie.

Jack porwał ją w ramiona i zaniósł do łóżka. Wszystko inne nagle stało się nieważne, a cały świat przestał istnieć, bo oboje znaleźli sobie prawdziwy raj na ziemi.

Nawet nie zauważyli, jak dzień zamienił się w wieczór, wieczór stał się nocą, a noc pojaśniała porankiem. Kiedy Mickey spojrzała na zegarek, z przerażeniem

stwierdziła, że spóźni się do pracy.

Westchnęła zrezygnowana. Jeszcze tylko pocałowała śpiącego Jacka w policzek i wyskoczyła z łóżka. Kończyła suszyć włosy, kiedy przyniósł jej kubek z kawą. Ostrożnie pociągnął za ręcznik, którym się owinęła, i patrzył na nią. Jeszcze raz pociągnął.

– Umówiliśmy się, że dopóki nie wyjdiesz do pracy – przypomniał jej na wszelki wypadek, gdyby przyszło jej do głowy zaprotestować.

Patrzył jak, zupełnie naga, szczotkowała włosy. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Mickey zamarła na moment. W oczach Jacka dojrzała czułość i tysiąc innych uczuć, których nie śmiała nazwać. Gdyby przyjęła do wiadomości ich istnienie, musiałaby przyznać, że ona także coś do niego czuje, a nie była jeszcze do tego przygotowana. Chociaż, kiedy się kochali, czuła się piękna, pożądana i... kochana.

Tak, przyznała się w myślach, to właśnie było to. Jack pokazał mi światy, o których przedtem tylko czytałam. Aż trudno uwierzyć, że do tej pory nikt się na takim skarbie nie poznał. Jeśli go stracę...

– Muszę się ubrać – mruknęła, odkładając szczotkę.

Jack bez słowa położył się na łóżku i patrzył, jak Mickey wkłada bieliznę, skarpetki, bluzkę i spodnie.

– Wiesz co? – zapytał.

– Nie wiem, ale muszę już iść do pracy.

– Nigdy tej nocy nie zapomnę. – Pociągnął Mickey za rękę tak, że przewróciła się na łóżko. Wreszcie mógł ją porządnie pocałować na pożegnanie. Ucieszył się, kiedy przylgnęła do niego tak mocno, jakby zapomniała, że się spieszy.

Kiedy wychodziła, do domu wśliznął się Pchełka. Cicho zamknęła za sobą drzwi i odjechała. Jack wtulił twarz w poduszkę. Postanowił, że tutaj się prześpi. Przynajmniej będzie czuł zapach Mickey.

Rozdział 10

Przez całą drogę do domu Mickey zastanawiała się, czy zadzwonić do Jacka, czy też po prostu wpaść do niego, do czego zawsze ją namawiał. Dojeżdżała do domu, a wciąż jeszcze nie podjęła decyzji. W ogóle by się nad tym nie zastanawiała, gdyby nie fakt, że potrzebowała jego pomocy. W przeciwnym wypadku nie ośmieliłaby się nawet pomyśleć o tym, żeby mu przeszkodzić.

Przed domem Jacka stał samochód Stacy. Mickey natychmiast się zdecydowała. Skoro nie będą sami, łatwiej jej będzie z nim rozmawiać. Powie mu, o co chodzi, i wyjdzie... Żadnych spojrzeń, pocałunków i problemów...

Drzwi otworzyła Dani.

– Cześć, Mickey! – zawołała i rzuciła się Mickey na szyję.

W jednej chwili wybuchły w niej wszystkie uczucia, z którymi Mickey od tylu lat walczyła. Uklękła i mocno, stanowczo za mocno, przytuliła do siebie Dani. Nie mogła odzależnić, że nigdy nie poczuje na sobie rączek Barrie. Zamknęła oczy, próbując powstrzymać płynące potokiem łzy.

– Tatusiu! – zawołała Dani.

– Przepraszam – wyszeptła Mickey. Puściła dziewczynkę, wściekła na siebie, że nie potrafiła się opanować.

– Co się stało? – zapytał Jack, gdy, wszedłszy do pokoju, zobaczył zapłakaną Mickey.

Ona tylko pokręciła głową i odwróciła się, pragnąc jak najszybciej wyjść z tego domu. Nie chciała być nikomu ciężarem. Musi stanąć na własnych nogach. Nie może uzależniać się od drugiego człowieka.

– Nigdzie nie pójdziesz. – Jack chwycił ją za ramię. – Dani, idź do mamy, do kuchni.

– Ale...

– Bez dyskusji.

– Przepraszam – szlochała Mickey, wycierając ręką oczy. – Nie wiem, co mnie napadło. Biedna Dani. Bardzo się przestraszyła. Nie chciałam, żeby tak się stało.

Jack przytulił Mickey do siebie i poprowadził ją do swojej sypialni. Starannie zamknął drzwi, posadził zapłakaną dziewczynę na łóżku i przyniósł z łazienki mokry ręcznik. Widział, jak Mickey bardzo się stara zapanować nad sobą, pokazać światu pogodną twarz.

– Miałaś zły dzień? – zapytał cicho.

– Nie wiem, co się ze mną stało – chlipnęła Mickey. – Kiedy Dani się do mnie

przytuliła, to jakby wróciło coś... wszystko. Dawno już nie byłam w takim stanie. Czy nic jej nie będzie?

Zamilkła. Ze wszystkich sił próbowała powstrzymać łzy. Nie całkiem jej się to udało.

– Nie masz pojęcia, jak tęsknię za Barrie – wybuchnęła. – I nigdy nie będę jej mogła nawet przytulić.

– Tak mi przykro. – Jack głaskał Mickey po głowie. Ułożył ją na łóżku, wziął w ramiona i tulił, pozwalając wypłakać cały smutek, jaki od tylu lat w sobie nosiła.

Rozumiał jej ból. Stracił rodziców, potem brata i jakoś to przeżył, ale gdyby nie było Dani... Jack wołał o tym nawet nie myśleć.

Mickey w końcu zasnęła. Nie obudziła się, kiedy Jack wstał, otulił ją kocem i otarł mokrą od płaczu twarz. Wyszedł na palcach, cichutko zamykając za sobą drzwi.

– Już dobrze? – zapytała Stacy, która kończyła lukrowanie ciasteczek.

– Zasnęła. – Jack potarł dłonią czoło. – Chodź no tu do mnie, krasnoludku – zwrócił się do Dani, która kurczowo trzymała się matczynej spódnicy.

– Krzyczałeś na mnie.

– Przepraszam.

– Ja chciałam pomóc Mickey, a ty mnie wygoniłeś.

– Przepraszam, krasnoludku. Nie pomyślałem. – Wziął dziewczynkę na ręce i wtulił twarz w jej pachnące włoski. Spróbował wyobrazić sobie świat bez Dani. Ani trochę mu się to nie udało. – Mickey też jest przykro, bo cię przestraszyła.

– Wcale mnie nie przestraszyła. Ja jestem za mała, żeby ją porządnie przytulić, i dlatego wołałam ciebie.

– Dziękuję, że mnie zawołałaś. Miałaś rację. Ją trzeba było mocno przytulić. – Spojrzał na Stacy, która już od kilku chwil się im przyglądała.

– Powinnaś się przebrać na przyjęcie, kochanie – powiedziała Stacy do córeczki. Dopiero kiedy Dani wyszła, zwróciła się do Jacka. – Ja ją zawiozę. Ty zostań tutaj z Mickey.

– Obiecałem Dani. – Jack pokręcił głową. – Ale byłbym ci wdzięczny, gdybyś mogła zostać, dopóki nie wrócę. Na wypadek, gdyby Mickey się obudziła.

– Pewnie, że zostanę. Co jej się stało?

– Nie mogę ci tego wytłumaczyć. Jeśli Mickey zechce, sama ci o tym opowie. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

– Jasne.

– Zajrzę teraz do niej, a potem odwiozę Dani.

– Jack?

Zatrzymał się w pół kroku i odwrócił do Stacy.

– Czy ty ją kochasz?

– Boję się o tym myśleć.

– Dlaczego?

– Bo jeszcze mogę ją stracić. Jeśli choćby przed sobą się przyznam, że ją pokochałem, to potem będę bardzo cierpieć, gdy ode mnie odejdzie.

Mickey umyła twarz i wyszła z sypialni.

– Cześć – pozdrowiła ją siedząca na kanapie Stacy. – Jack odwozi Dani do koleżanki. Zaraz wróci.

– Narobiłam wam strasznego kłopotu – powiedziała Mickey, siadając na fotelu naprzeciw Stacy.

– Chciałabyś porozmawiać? – zapytała Stacy.

– Czy Dani nic się nie stało?

– Zupełnie nic. Ona ci chciała pomóc, ale nie wiedziała, jak to zrobić.

– Myślałam, że się mnie przestraszyła.

– Ona twierdzi, że nie. To bardzo wrażliwe dziecko. Martwiła się o ciebie.

Mickey rozejrzała się po pokoju. Na stoliku, obok lampy, leżało zdjęcie z ultrasonografu. Mickey wzięła je do ręki.

– To braciszek albo siostrzyczka Dani – powiedziała Stacy, odruchowo kładąc dłoń na brzuchu. – Wszędzie wozi ze sobą to zdjęcie. Pewnie się wścieknie, kiedy się zorientuje, że zostało w domu. Już czuję, jak małeństwo się rusza. Drew jeszcze niczego nie wyczuwa, ale ja tak.

Mickey przypomniała sobie wszystkie cudowne chwile, jakie przeżywała, kiedy była w ciąży. Pierwszy dzień bez mdłości, przymierzanie ciążowych sukienek i pierwszy ruch, taki delikatny jak muśnięcie skrzydłem motyla.

– Jack powiedział mi o Dani i o waszym małżeństwie – powiedziała Mickey, odkładając zdjęcie tam, skąd je wzięła. Miała ochotę powiedzieć Stacy o Barrie, ale uznała, że nie należy niepotrzebnie straszyć ciężarnej kobiety. – Nie wiem, jak mogłaś żyć z Jackiem przez tyle lat pod jednym dachem i nie zakochać się w nim.

– Jesteśmy jak brat i siostra. – Stacy się uśmiechnęła. – Jack to wspaniały przyjaciel. Znalazł nawet czas, żeby chodzić ze mną do szkoły rodzenia i był przy mnie, kiedy Dani przyszła na świat. Wszyscy bardzo to przeżywaliśmy. Tak bardzo brakowało nam Dana. – Stacy westchnęła. – A potem poznałam Drew i nasza rodzina się powiększyła. Jack jest wspaniały, choć wiem, że trudno mu żyć na co

dzień bez Dani. A teraz Drew jest jej drugim ojcem i Jack ma konkurencję. Chciałabym, żeby wreszcie doczekał się własnych dzieci.

Mickey czuła, że Stacy nie powiedziała tego bez powodu, ale nie wiedziała, jak się zachować.

– Niedługo skończy czterdzieści lat. Nie może czekać wiecznie – oświadczyła Stacy, tym razem już bardziej otwarcie.

W tej chwili do pokoju wszedł Jack.

– Już się obudziłaś? – zapytał. – Myślałem, że pośpisz co najmniej do rana.

Gdybyś był przy mnie, to pewnie jeszcze bym spała, pomyślała Mickey. Zaskoczyło ją, że Jack tak prędko stał się kimś nieodzownym w jej życiu.

– Dziękuję, że się mną zająłeś – powiedziała.

– A ja się cieszę, że mi na to pozwoliłaś. – Postawił na podłodze torbę, którą ze sobą przyniósł. – Jak się czujesz?

– Znacznie lepiej.

– Chyba wam przeszkadzam. – Stacy wstała i zaczęła zbierać swoje rzeczy. – Lepiej już sobie pójdę.

– Dzięki, Stace. – Jack spojrzał na nią z wdzięcznością.

– Uważajcie na siebie. Oboje.

– Głodna jesteś? – zapytał Jack, gdy tylko drzwi zamknęły się za Stacy.

Mickey skinęła głową.

– Dobrze. Posiedź tu chwilę, a ja zaraz coś przygotuję.

– A nie mogłabym ci pomóc?

Jack spojrzał na jej wciąż smutną twarz. Żałował, że nie ma czarodziejskiej mocy i nie może zamienić jej smutku w wieczną radość. Wziął Mickey za rękę, podniósł z fotela i delikatnie pocałował.

– Źle wyglądasz – powiedział.

– Przez całą noc ktoś mi nie dawał spać. – Zdobyła się na uśmiech.

– Ciekaw jestem, kto to mógł być – zastanawiał się Jack, prowadząc ją do kuchni.

– Ktoś, kto powinien być trochę bardziej niewyspany niż ty.

– Wolisz widelec czy pałeczki? – zapytał Jack. Wyjął z torby pojemniki z chińskimi przysmakami, położył na stole serwetki i postawił talerze. – A może ten ktoś przespał całe przedpołudnie w twoim łóżku i zdawało mu się, że ty przy nim jesteś?

– Naprawdę tak było?

– Może. A może to Pchelka wlaźł do twojego łóżka. Mickey roześmiała się i w

tej samej chwili, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, opuściło ją całe napięcie.

– Bardzo się cieszę, że przyszedł do mnie nie zapowiedziana. To dla mnie bardzo wiele znaczy.

– Co, na przykład?

– Po pierwsze, że masz do mnie zaufanie.

– Jasne, że mam. Ja tylko sobie nie ufam.

– Nie rozumiem.

– Boję się, że mogę cię zawieść.

– Ja żyję z dnia na dzień. Tak samo jak ty.

– Jeśli tak, to w porządku. – Mickey wreszcie zabrała się do jedzenia. – Ależ to dobre. Cały dzień nic w ustach nie miałam.

– Opowiedz mi o swoim byłym mężu – poprosił Jack, kiedy skończyli jeść.

– Dlaczego?

– Chyba chciałbym zrozumieć, dlaczego się rozeszliście. Taka tragedia, jaka was spotkała, zazwyczaj zbliża ludzi do siebie.

– Jedynie takich ludzi, którzy się bardzo mocno kochają.

– To znaczy, że wy nie kochaliście się aż tak bardzo?

– Kiedy się pobieraliśmy, byliśmy prawie dziećmi. – Mickey oparła łokcie na stole. – Szybko się okazało, że byłaby z nas para świetnych kumpli, ale... nic więcej. Zwróciłam na niego uwagę, bo dobrze grał w baseball. Przyszedł do naszej drużyny z niższej ligi i bardzo dobrze się zapowiadał. Moi bracia zajęli się innymi dziedzinami sportu. Jeden grał w koszykówkę, drugi w siatkówkę, a trzeci – w piłkę nożną. Tylko ja wytrwałam przy baseballu i tylko ja pozostałam ojcu bliska, że tak powiem, zawodowo. Potem pojawił się Randy. Rozmawialiśmy o grze. Rozumieliśmy się doskonale.

Mickey wstała nagle. Wzięła ze stołu talerze i wstawiła je do zlewu.

– Zdradzał mnie – powiedziała, odwrócona plecami do Jacka. – Kpił sobie z małżeńskiej przysięgi. Nie wiem, jak długo to trwało, ale kiedy się zorientowałam, co się dzieje, przeniosłam się do drugiej sypialni. Kiedy się kochaliśmy po raz ostatni, poczęłam Barrie.

– To było dawno.

– Trzy i pół roku temu. Tak, chyba rzeczywiście dawno.

– A jednak nie rozeszliście się.

– A co miałam zrobić? Miałam od niego odejść? Przecież byłam w ciąży. Chciałam poczekać, aż Barrie trochę podrośnie. – Mickey odstawiła umyte

talerze na suszarkę.

Jack wyrzucił śmieci i wpuścił do domu Pchełkę. Kiedy wrócił do kuchni, Mickey już tam nie było. Zastał ją w pokoju. Stała przy oszklonej ścianie i obserwowała zachód słońca.

Jack położył ręce na jej ramionach i przez chwilę razem podziwiali barwne widowisko na niebie.

– A teraz powiedz mi to, czego jeszcze nie wiem – poprosił. Mickey zeszywniała. Jack pomyślał, że niczego więcej się nie dowie.

– Kiedy Barrie umarła, on na mnie zwałił całą winę – powiedziała jednak. – Nie było go w domu, kiedy to się stało, ale gdy wrócił, zachowywał się jak mściciel. Tak jakbym to ja ją zabiła! I tak miałam ogromne poczucie winy. Bez przerwy się zastanawiałam, co można było zrobić inaczej, czy można było tego uniknąć, dlaczego instynkt macierzyński nie podpowiedział mi, że dzieje się coś złego. Boże! Przecież to ja ją znalazłam! – Mickey zamilkła, przepełniona bólem. – Wiele czasu minęło, zanim zdołałam sobie wybaczyć. Randy mógł mi pomóc, ale nie zrobił tego. Tak bardzo go potrzebowałam, a jego przy mnie nie było.

Wysunęła się z uścisku Jacka. Podeszła do kominka i oglądała ustawione tam zdjęcia jego rodziny.

– Ja tu dzisiaj przyszedłam w interesie – powiedziała.

– Co się stało?

– Jeden z moich uczniów, Greg Garcia... Ma nie więcej jak dziewiętnaście lat. – Przyglądała włosy, jakby w ten sposób dało się uporządkować rozbiegane myśli. – Zupełnie się pogubił, ale w końcu zaczął rozumieć, o co w tej matematyce chodzi. W tym tygodniu całkiem przestał chodzić na zajęcia. A dzisiaj przyszedł, żeby mi powiedzieć, że rezygnuje ze szkoły.

– Powiedział ci, dlaczego?

– Nie, ale głowę bym dała, że ma jakiś poważny kłopot. Wyglądał jak martwy. Ani razu się nie uśmiechnął.

– Myślisz, że mogłabyś mu pomóc?

– Myślę, że ty byś mogła.

– W jaki sposób?

– Zapytałam go, czy nie przydałby mu się dobry adwokat. Kręcił i kluczył, ale kiedy się dowiedział, że może taką poradę dostać bezpłatnie, jakby się ożywił. – Mickey wyjęła z kieszeni karteczkę. – Tu masz jego nazwisko i numer telefonu. Powiedziałam mu, że zadzwonisz do niego w sobotę albo w niedzielę i umówisz się z nim w college'u. Obiecał mi, że nie zrezygnuje z nauki, dopóki z tobą nie

porozmawia.

– Nie wiesz, o co mu może chodzić?

– To dobry chłopak, solidny. Można na nim polegać. Pracuje na dwóch etatach i jednocześnie się uczy. I to całkiem niezłe. Nie wygląda mi na Człowieka związanego z gangiem czy z handlarzami narkotyków. To musi być coś innego.

– Kłopoty z dziewczyną?

– Możliwe. – Mickey wzruszyła ramionami. – Nie wiem.

Nie był zbyt rozmowny, ale jestem pewna, że ty sobie z nim poradzisz.

– Bardzo we mnie wierzysz.

– Mam powody. Wiem przecież, co ci się udało ze mnie wyciągnąć. Podobno jesteś doskonałym adwokatem.

– Kto ci to powiedział?

– Brooks, mój młodszy brat. Jest na drugim roku prawa. Mówił mi, że uczą się na twoich sprawach. Studiują twój sposób prowadzenia obrony. Bardzo by chciał, żebyś poprowadził wykłady na ich uniwersytecie.

– Nawet mi to proponowano.

– Naprawdę?

– To jedna z wielu propozycji. – Jack zamknął drzwi prowadzące na taras.

– Przyjmiesz którąś z nich?

– Jeszcze się nie zdecydowałem. – Zapalił stojącą na stole lampę i podszedł do Mickey. Posmutniała. Czyżby na wieść o tym, że on mógłby wyjechać z Gold Creek? – Nie wybrałabyś się ze mną na wycieczkę? Wstąpilibyśmy gdzieś na kawę z ciastkiem...

Podał jej rękę, a Mickey się do niego przytuliła.

– Gdybym miała teraz na głowie czapkę, to bym ją odwróciła daszkiem do tyłu – powiedziała.

– A to dlaczego?

– Bo potem zawsze mnie całujesz.

Jack wstawił samochód do garażu. Mickey zastanawiała się, co będzie dalej. Czy zaproponuje jej spędzenie kolejnej wspólnej nocy? Wiedziała, że jeśli tak, to ona raczej nie odrzuci propozycji. A jeśli nie? Umówili się przecież tylko na jedną noc. Tymczasem Mickey potrzebowała dużo, dużo więcej. To stwierdzenie bardzo ją przeraziło, lecz jednocześnie wprowadziło w zachwyt.

– Jeśli chcesz, możesz zostać na noc – powiedział Jack, podchodząc do niej.

– Powinam raczej wrócić do domu i trochę pospać – powiedziała powoli. Nie chciała go oszukiwać. Jack był dobrym i uczciwym człowiekiem. Zasługiwał na

szczerłość.

– Uważasz, że jak tu zostaniesz, to się nie wyśpisz.

– Ja chciałabym tylko postąpić właściwie.

– Jestem dorosły, Mickey. Rozważyłem wszystkie możliwości i zaproponowałem, żebyś została na noc.

– Nie mogę – odrzekła, choć propozycja Jacka niesłychanie ją kusila.

– Nie chcesz.

– No właśnie – powiedziała, jakby chciała go przekonać. Jack odprowadził ją do furgonetki. Stała na schodku i już miała wejść do kabiny, kiedy objął ją w pól.

– Ciekawe – zauważył. – Nigdy nie całowałem kobiety, która jest wyższa ode mnie.

Mickey nie dała się zbałamucić. Zrobiła wszystko, żeby ten pocałunek pozostał delikatny, prawie przyjacielski.

– Dobranoc – powiedziała.

– Dobranoc, trenerze. Spij dobrze.

Stał jeszcze chwilę i patrzył za furgonetką. Kiedy światła zniknęły za wzniesieniem, odwrócił się i poszedł do domu. Pchełka powitał go poszczekiwaniami i radosnym merdaniem ogonka. Razem wyszli na taras. Jack spojrział w stronę domku Mickey, jakby miał nadzieję, że ona jednak zmieni zdanie.

Wiem, że to niemożliwe, myślał. Ona jest taka trudna. Czasami delikatna jak chińska porcelana, a czasem niezwyciężona.

Jack się rozmarzył. Myślał o wspólnych nocach, radosnych porankach, zwyczajnym, nieskomplikowanym życiu u boku tej dziwnej kobiety.

– Czy propozycja jest jeszcze aktualna? – usłyszał tuż obok cichutki szept.

Pomyślał, że mu się przyśniła. Otworzył oczy. Mickey stała przed nim, ubrana tylko w biały szlafrok. Własnym oczom także nie uwierzył. Podszedł do niej i delikatnie pogłaskał ją po policzku. Zadrzała.

– Nie mogłam zapomnieć tego twojego olbrzymiego łóżka – przyznała.

– Tylko łóżka? – Przytulił ją do siebie.

– Ciebie też. Przede wszystkim ciebie.

Rozdział 11

Mickey obudziła się z głębokiego snu. Zerknęła na stojący na nocnym stoliku budzik. Była prawie dziewiąta, więc jednak udało jej się trochę pospać.

Spojrzała na leżącego obok niej Jacka. Właściwie nigdy nie lubiła mężczyzn z długimi włosami, ale w nim fascynowało ją wszystko. Nie przypuszczała, że w ciągu jednej nocy można się kochać tyle razy i na tyle różnych sposobów. Po raz pierwszy w życiu była w łóżku taka swobodna. Zresztą nie tylko w łóżku. Zaczerwieniła się na wspomnienie tego, co wyprawiali, zanim z tarasu przenieśli się do sypialni.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał Jack, przeciągając się leniwie.

Kocham cię, pomyślała Mickey. Kocham cię! Kocham! Kocham!

Przytuliła się do niego. Nie chciała, żeby się czegokolwiek domyślił. Nie mogła mu wyznać miłości, dopóki nie będzie gotowa dać mu wszystkiego, co sobie wymarzył. A założenia rodziny Mickey wciąż bała się jak diabeł święconej wody.

– Zmęczona jesteś? – zapytał, zaniepokojony niezwykle u niej milczeniem.

– Zmęczona i szczęśliwa.

Przez cały dzień Jack nie mógł się dość nadziwić zmianom, jakie zaszły w jego trenerze. Mickey poprosiła, żeby pozwolił jej zrobić śniadanie. Omlet, jakim go uraczyła, był arcydziełem sztuki kulinarnej. A co najważniejsze, widać było, że krzątanie się po kuchni sprawiało jej przyjemność. W okienku pralki koszulki Mickey mieszały się z jego rzeczami. Było miło i całkiem zwyczajnie. Dokładnie tak, jak sobie Jack wymarzył.

Po południu zadzwonił do Grega Garcii, żeby się z nim umówić na poniedziałek.

– Za późno – powiedział ponuro Greg, kiedy Jack się przedstawił. – Nikt nie może mi pomóc. Proszę powiedzieć pani Morrison, że dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiła, ale muszę zrezygnować ze szkoły.

– Może mi jednak powiesz, w czym problem – zaproponował Jack, usłyszawszy w głosie Grega prawdziwą rozpacz. – Może wcale nie jest za późno. Ja się trochę na tym znam.

– Nie ma o czym mówić, proszę pana.

– Popeliłeś przestępstwo?

– Skądże. Tylko się wygłupiłem.

– Mów.

– Przespałem się z dziewczyną i ona zaszła w ciążę. – Greg westchnął ciężko. –

Nawet mi o tym nie powiedziała. Przypadkiem się dowiedziałem. Oddała dziecko do adopcji. Wszystko już zostało załatwione.

– Czy dziecko już się urodziło?

– Tak. Wczoraj wieczorem. Chłopiec. Mój... syn.

– Ile ty masz lat, Greg?

– Wczoraj skończyłem dziewiętnaście. On się urodził... dokładnie... tego samego dnia.

– A matka twojego dziecka?

– Ma lat siedemnaście. Widzi pan, ja mam dwie posady i gdyby nie szkoła, mógłbym dostać taką pracę, za którą jeszcze lepiej płacą. Chcę sam wychować mojego syna, ale jego dziadkowie już zgłosili go do adopcji.

– Bez porozumienia się z tobą?

– Twierdzą, że to nie moje dziecko.

– A ty jak uważasz?

– Że jest moje.

– Mogę być u ciebie za godzinę – oznajmił Jack, spoglądając na zegarek. – Rodzice twojej dziewczyny złamali prawo. Jeśli to rzeczywiście twoje dziecko i jeśli sam chcesz je wychować, to wcale na nic nie jest za późno. W każdym razie ja mogę ci pomóc.

– Naprawdę? Pomógłby mi pan odzyskać syna?

– Tak, jeśli to rzeczywiście twoje dziecko. Powiedz mi, gdzie mieszkasz.

Zapisał sobie adres Grega.

– Wie pan, jej rodzice są bardzo bogaci. Mają znajomości, dobrych prawników...

– Ty też – uciął Jack. – Zaufaj mi, synu. Czy wiesz, w którym szpitalu jest dziecko?

Mickey weszła do pokoju. Zdążyła jeszcze usłyszeć jego pytanie.

– Mały urodził się w Valley Hope, ale o ile wiem, już go stamtąd zabrali.

– No to go odbierzemy. Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym zabrał ze sobą panią Morrison? Mogę jej powiedzieć, o co chodzi?

– Jeśli tylko zechce... Była dla mnie taka dobra. Ale moi rodzice mają malutki domek...

– Jej to nie przeszkadza. Mnie zresztą też nie. Zaraz u ciebie będziemy.

Jack odłożył słuchawkę i opowiedział Mickey wszystko, czego dowiedział się od Grega.

– Chcesz się w to włączyć? – zapytał. – Bo jeśli nie...

– Jeśli mi postawisz hamburgera, to pójdę za tobą na koniec świata – przerwała mu Mickey.

Jack rozmawiał z Gregiem i jego rodziną, a Mickey spoglądała na zgromadzonych w niewielkim saloniku ludzi: rodziców, babcię, dwie siostry, szwagra i wujka. Wszyscy oni gotowi byli zrobić, co w ludzkiej mocy, żeby tylko pomóc Gregowi. Podziwiała, z jaką cierpliwością Jack odpowiadał na ich pytania zadawane łamaną angielszczyzną. Kiedy powiedział, że chciałby porozmawiać z Gregiem na osobności, pokój w mgnieniu oka opustoszał.

– Zapomnijmy na chwilę o emocjach i pomówmy o realiach – zaczął Jack. – Rozumiem, że nie chcesz, żeby obcy ludzie wychowywali twojego syna, ale musisz myśleć rozsądnie. Nie skończyłeś żadnej szkoły. Zapłata za pracę, jaką w tej chwili możesz dostać, nie wystarczy na utrzymanie ciebie i dziecka. Nawet z pomocą rodziny nie będzie ci łatwo. Niemowlęta dużo kosztują. Trzeba im kupować specjalne jedzenie i lekarstwa, szybko wyrastają z ubranek...

– I pieluchy – dodała Mickey. – Mnóstwo pieluch.

– Wiem. Moja siostra ma dwoje dzieci.

– Czy dasz sobie z tym wszystkim radę? – zapytał Jack.

– Nie chodzi mi tylko o pieniądze, ale przede wszystkim o to, że już zawsze będzie ciążał na tobie poważny obowiązek.

– Nie wiem, jakbym mógł dalej żyć, gdybym tego nie zrobił.

– Greg wstał i nerwowo chodził po pokoju. – Jak mógłbym żyć, wiedząc, że jest gdzieś na świecie moje dziecko, którym się nie zaopiekowałem? To moja krew.

– Czasami najlepsze, co możemy zrobić dla naszego dziecka, to pozwolić, żeby go zabrano. Twój syn może mieć pełną rodzinę, która da mu wszystko, czego potrzebuje. Oddanie go do adopcji nie musi być wcale takim złym rozwiązaniem.

– Nie dla mnie – zaperzył się Greg. – Nikt nie będzie go kochał bardziej niż ja. To mój syn!

– Dobrze! – Jack był bardzo zadowolony.

– Co to znaczy: dobrze? – zdziwił się Greg.

– To znaczy, że dobrze sobie to wszystko przemyślałeś i że wiesz, co robisz. Teraz możemy porozmawiać o przysługujących ci prawach. Jenny i jej rodzice postąpili niezgodnie z prawem, które stanowi, że ojciec także musi się zgodzić na adopcję. Oznacza to, że albo podrobili twój podpis, albo że adopcja jest załatwiana nieoficjalnie. Jedyne, co mogą zrobić, kiedy im powiemy, że chcesz się zająć dzieckiem, to zatrzymać je tylko po to, żebyś ty nie mógł go mieć.

– To mi nie grozi. Rodzice Jenny za nic nie zechcą mieć dziecka z domieszką

krwi hiszpańskiej.

– Jesteś pewien? Greg skinał głową.

– Czy istnieje możliwość, że Jenny zechciałaby zostać twoją żoną? Czy jej rodzice by się temu sprzeciwili?

– Byłem dla niej tylko zabawką.

– Jenny może zechcieć widywać dziecko. Nie teraz, ale za kilka lat. Co wtedy zrobisz?

– Nie ma obawy. – Greg machnął ręką. – Za późno się zorientowałem, że jest taką samą rasistką jak jej rodzice.

– Może się zmienić, kiedy dojrzeje. – Jack zerknął w notatki. – Powiedziałeś mi, że jej rodzice twierdzą, że dziecko nie jest twoje.

– Koleżanka Jenny mi o tym powiedziała. Ale ja umiem liczyć. Zresztą ona wtedy nie miała żadnego innego chłopaka.

– Dobrze – powiedział Jack, patrząc prosto w oczy Gregowi. – Podaj mi teraz nazwiska i adresy wszystkich zamieszanych w tę sprawę osób. Potem będę musiał zadzwonić. Jest tu jakieś spokojne miejsce?

– Moja sypialnia, ale tam nie ma telefonu.

– Mam telefon komórkowy. – Poklepał Grega po ramieniu. – Nie martw się. Wszystko dobrze się skończy.

– Boję się mieć nadzieję...

– Owszem, mogą wystąpić nieprzewidziane okoliczności i cała sprawa potrwa dłużej, niżbyś sobie tego życzył, ale na pewno dobrze się skończy. A potem porozmawiamy sobie poważnie na temat antykoncepcji.

– Jenny mi powiedziała, że się zabezpieczyła. – Greg spuścił oczy. Był czerwony jak burak.

– W tych sprawach, mój drogi – Jack zmusił chłopca, żeby na niego spojrzał – odpowiedzialność spada na obie strony.

Mickey mogła się przekonać o operatywności Jacka, który jednym telefonem wstrzymał proces adopcyjny, po czym przestrzegł przybranych rodziców przed zabieraniem dziecka ze szpitala. Wiedział, że jeśli sprawa trafi do sądu, chłopiec zostanie oddany rodzinie zastępczej. Nie chciał, żeby obcy ludzie opiekowali się synem Grega choćby przez kilka tygodni. Toteż jeszcze tego samego dnia umówił Grega z rodzicami Jenny i ich adwokatem.

Mickey z podziwem słuchała, jak, nie podnosząc głosu i nie strasząc żadnymi konsekwencjami, Jack spokojnie wyjaśnił rodzicom dziewczyny, że badanie DNA bez wątplenia potwierdzi ojcostwo Grega. Ponieważ zaś podjęli kroki adopcyjne

niezgodnie z prawem, upublicznienie tej sprawy poprzez rozstrzygnięcie jej w sądzie nie leży w ich interesie. Poddali się bez walki.

– Zmęczona jesteś? – zapytał Jack, kiedy oboje z Mickey wracali do domu.

– Bardzo – ziewnęła. – Ale niczego nie żałuję. Cieszę się, że obaj z Gregiem pozwoliliście mi uczestniczyć w tych rozmowach. Byłaś wspaniała.

– To jeszcze nie wszystko. – Jack się do niej uśmiechnął.

– Ciekawe, co przede mną ukrywasz?

– Wystąpienie o zabezpieczenie finansowe od rodziców Jenny dla Grega i jego syna.

– Naprawdę mógłbyś to załatwić?

– Prawo nie nakłada na nich takiego obowiązku, ale teraz chodzi im tylko o to, żeby jak najszybciej wypłacić się z tej sprawy. No i, oczywiście, żeby nikt się o tym nie dowiedział.

– Nic z tego nie rozumiem. Jeśli nie chcą słyszeć o swoim wnuku, to po co mieliby dawać Gregowi pieniądze?

– Bo to wcale nie są źli ludzie. Jenny nie chciała usunąć ciąży, więc pozwolili jej urodzić dziecko. Założę się, że ona też kiedyś będzie chciała mieć wpływ na życie swojego syna, a jej rodzice gotowi są za ten przywilej zapłacić. Rozmawiałem o tym z ich adwokatem. Szybciej się zgodzą, jeśli on im to zaproponuje.

– Myślisz, że Greg się na to zgodzi?

– Żałuję, że Jenny nie było na tym spotkaniu – powiedział Jack, w zamyśleniu pocierając podbródek. – Jakbym ich zobaczył razem, to wiedziałbym na pewno, co jest, a co nie jest możliwe.

– Dobrze, że Greg ma taką wspaniałą rodzinę. Jego bliscy będą mu bardzo pomocni.

Zamilkli. Mickey wiedziała, że powinna do Jacka mówić cokolwiek, żeby nie zasnął za kierownicą, ale miała wielką ochotę tylko na niego patrzeć. Nikt nigdy nie zrobił na niej takiego wrażenia jak Jack. Miłość, jaką do niego czuła, powoli rozlewała się ciepłem po całym ciele.

– Byłaś dzisiaj bardzo małomówna, trenerze – zauważył Jack.

– Bo nie miałam nic do powiedzenia.

– Większość kobiet... Nie, większość ludzi nie potrafiłaby się nie wtrącać, tak jak ty to zrobiłaś. Widziałem, jak cię nosiło, kiedy rodzice Jenny zaczęli się stawiać, ale nie odezwałaś się ani słowem. Naprawdę cię podziwiam.

– Mówiąc szczerze, zachowywałam się tak dlatego, że oniemiałam z podziwu.

Byłeś niesamowity i po prostu chciało mi się na ciebie patrzeć. – Zdjęła pantofle, odwróciła się plecami do drzwi i ułożyła nogi na kolanach Jacka. – No i co teraz będzie?

– Z czym? – zapytał Jack.

– Jak chcesz przeżyć resztę swojego życia? Nie możesz rzucić adwokatury. Jesteś urodzonym prawnikiem.

– Masz rację. – Jack głaskał jej stopy, a ona przymknęła oczy z rozkoszy i mruzczała jak szczęśliwa kotka. – Jestem dumnym człowiekiem i nie chciałbym, żeby o mnie zapomniano. Jeśli zostanę nauczycielem akademickim, to za kilka lat będę opowiadał swoim studentom o sprawach historycznych. Wypadnę z kursu i skończę się jako prawnik. Raczej by mnie to nie uszczęśliwiło.

– Ty kochasz swoją pracę. Widać to nawet wtedy, kiedy robisz coś, co nie przyniesieni sławy.

– Moi współnicy też się dziwili, że tak długo wytrzymałem w Golden Creek. – Jack się do niej uśmiechnął. – Miałem dużo pracy. Remontowałem dom, pisałem podręcznik, a przede wszystkim spędzałem mnóstwo czasu z Dani. Bez niej nawet moja praca nie ma sensu.

– Czy nie mógłbyś tutaj otworzyć kancelarii?

– Ta dzisiejsza sprawa bardzo mnie podekscytowała. Nie było to nic skomplikowanego i każdy prawnik by sobie z tym poradził, ale przywróciła mi radość z pracy. Problem w tym, że chciałbym robić wszystko naraz: nauczać, pisać i prowadzić praktykę adwokacką. Nie wiem, jak sobie z tym poradzę.

I jeszcze do tego wszystkiego chciałbym mieć rodzinę, dodał w myślach, ale głośno tego nie powiedział.

– Dałoby się to wszystko jakoś pogodzić. – Mickey znowu ziewnęła. – Mógłbyś prowadzić wykłady gościnnie i występować w sądzie w konkretnych sprawach. Dużych i małych, jak ta dzisiejsza historia z Gregiem.

Może to rzeczywiście nie byłoby takie trudne, pomyślał Jack. Pewnie wszystko dałoby się jakoś pogodzić. Chciał porozmawiać o tym z Mickey, ale ona już spała.

Obudził ją dzwonek telefonu. Mickey nakryła głowę poduszką. Wyrzała spod niej dopiero wtedy, kiedy Jack skończył rozmowę.

– Czy twój budzik dobrze chodzi? – zapytała.

– Bardzo dobrze. – Jack pocałował ją w czoło i wyskoczył z łóżka.

– Szósta rano?

– Ty możesz jeszcze pospać. Ja mam spotkanie z rodzicami Jenny i ich adwokatem. Chcą się ze mną zobaczyć, zanim Greg zabierze synka ze szpitala.

Mickey usiadła i przetarła zaspane oczy.

– O co chodzi? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Nie chcieli mi powiedzieć.

– Może powinieneś zawiadomić Grega?

– Dopiero wtedy, gdy się dowiem, w czym rzecz. Może rodzice Jenny postanowili jednak zatrzymać dziecko. Zobaczmy. I nie denerwuj się – dodał. – Wszystko będzie dobrze.

– Rozumiem, że nie chcesz mnie ze sobą zabrać? Pewnie usłyszał w jej głosie żalony ton, bo usiadł z powrotem na łóżku.

– Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli – powiedział, patrząc jej prosto w oczy – to razem z Gregiem pojedę do szpitala po dziecko. Naprawdę chciałabyś przy tym być?

– Tak! – zawołała, ale za chwilę zmieniła zdanie. – Nie. Naprawdę, sama nie wiem.

– Dopóki nie będziesz tego wiedziała na pewno, lepiej, jeśli zostaniesz w domu.

– Masz rację. – Mickey spuściła głowę. – Nie chciałabym zepsuć Gregowi jego radosnych chwil.

Jack ją do siebie przytulił. Oparła głowę na jego piersi.

– Dziękuję, żeś mnie rozebrał i położył do łóżka – mruknęła.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

– Bardzo lubię budzić się w ten sposób – uśmiechnęła się rozmarzona.

– Cieszę się, że to powiedziałaś. – Poglaskał ją po policzku. – Czy będziesz tu jeszcze, kiedy wrócę?

– A gdzie miałabym się podziąć? Co najwyżej będę u siebie, ale to niedaleko.

– Dobrze. – Jack ułożył ją na poduszce. – Pośpij sobie jeszcze. Lubię sobie wyobrażać, jak śpisz w moim łóżku.

Mickey zamieniła się godzinami z innym nauczycielem matematyki, żeby spokojnie kupić Gregowi jakiś prezent. Wybrała kilka par śpioszków, kaftaniki i trzy paczki jednorazowych pieluch.

Jadąc do Grega, myślała o wczorajszym spotkaniu, na które Jack nie chciał jej zabrać. Tak jak przewidział, rodzice Jenny chcieli sami zaopiekować się małym. Jednak Jackowi udało się ich przekonać, że takie rozwiązanie nie ma sensu. Zgodzili się też na materialne zabezpieczenie wnuka. Jack miał sprawować pieczę nad pieniędzmi i dopilnować, aby były dobrze użytkowane. Matka Jenny rozplakała się, kiedy Jack im dziękował.

Mickey zatrzymała się przed domem rodziców Grega. Nie mogła się

zdecydować, czy rzeczywiście chce chłopcu osobiście dostarczyć wyprawkę dla niemowlęcia. W końcu zebrała się na odwagę.

Matka Grega powitała ją jak córkę. Mickey zamarła, gdy do pokoju wszedł Greg z maleńkim, za to głośno wrzeszczącym zawiniątkiem w ramionach.

– W samą porę, pani Morrison – powiedział.

– Nie mógłbyś mówić do mnie po imieniu? – zapytała. – Co: w samą porę?

– Pora na karmienie. On je jak smok.

– Dobrze, że w domu nie brakuje ludzi – wtrąciła się matka Grega.

– Może on nie ma ochoty poznawać obcych ludzi. Ja wpadłam tylko na chwilę. Przywiozłam parę drobiazgów...

– Gdyby nie pani... Gdyby nie ty – poprawił się szybko Greg – nie byłoby go tutaj. Będzie się nazywał Michael John, na cześć pana Stone'a i twoją. Postanowiliśmy mówić do niego M. J. , bo oboje jesteście nam jednakowo drodzy.

Greg podał dziecko Mickey. Usiadła w fotelu i ostrożnie rozchyliła kocyk. Jej oczom ukazała się maleńka twarzączka, cała czerwona od głośnego krzyku.

– Jest śliczny. – Mickey musnęła palcem czarne włoski chłopczyka. – Cześć, M. J. Witaj na świecie, maleńki.

Greg podał jej butelkę z ciepłym mlekiem. M. J. przyssał się do smoczka. W pokoju zrobiło się zupełnie cicho.

– Dbaj o niego – wyszeptwała Mickey ze łzami w oczach. – To najcenniejszy dar, jaki można dostać od życia.

– Będę o niego dbał. Obiecuję. Jestem to winien mojemu synowi, mojej rodzinie, no i oczywiście tobie.

– Cześć, mamo.

– Co się stało, kochanie? – przeraziła się Ginny Morrison.

– Skąd wiesz, że coś się stało? Przecież tylko się z tobą przywitałam.

– Uspokoilaś mnie. – Ginny westchnęła z ulgą. – Znowu mówisz normalnie.

– Ale czuję się znacznie lepiej niż normalnie. Wręcz fantastycznie.

– Powiesz mi wreszcie, co się stało?

– Zakochałam się i powiem mu o tym, jak tylko skończę z tobą rozmawiać.

– Och, kochanie! Nawet nie wiesz, jak się cieszę. Rozumiem, że chodzi o Jacka?

– Tak, zakochałam się w Jacku. W Johnie Robercie Stonie. Dzisiaj nadano pewnemu dziecku imiona na naszą cześć, ale o tym opowiem ci innym razem. Dzwonię do ciebie, bo chciałam cię o coś prosić.

– Przecież wiesz, że zrobię wszystko...

– Poczta kurierską wyślę ci paczuszkę. Chciałabym, żebyś położyła te kwiatki na grobie Barrie. To niezapominajki, mamó. Są takie niebieskie jak jej oczka. Nigdy jej nie zapomnę, ale nie chcę się już dłużej dręczyć. Barrie jest teraz w niebie. Bóg się nią na pewno dobrze opiekuje. A ja też chciałabym mieć jeszcze trochę radości w życiu.

Rozdział 12

Mickey poprawiała pogrzebaczem polana na kominku. Zastanawiała się, co się stało z Jackiem. Była dziewiąta wieczorem, a on jeszcze nie wrócił do domu. Mickey zabrała więc Pchełkę, sądząc, że i jemu różniej będzie mieć towarzystwo.

Patrzyła na tańczące w kominku płomienie i myślała o rozmowie telefonicznej, jaką odbyła zaraz po wyjściu posłańca. Rektor wydziału języka angielskiego zadzwonił z pytaniem, czy Mickey nie mogłaby zastąpić koleżanki, która w środku semestru musiała nagle zrezygnować z pracy. Mickey nie zastanawiała się długo, tylko od razu się zgodziła. O literaturze angielskiej wiedziała wszystko. Nawet obudzona w środku nocy mogła poprowadzić zajęcia.

Zwinięty w kłębek przed kominkiem Pchełka podniósł łepkę i nastawił uszy. Mickey obserwowała psa i nasłuchiwała. Po chwili ona także usłyszała kroki. Pchełka rzucił się na drzwi jak oszalały. Dopiero wtedy rozległo się pukanie.

– To ja, trenerze – usłyszała znajomy głos.

Mickey odsunęła na bok psa i otworzyła drzwi. Zamarła na widok Jacka. Wyglądał jak widmo.

– Co się stało? – przeraziła się Mickey.

Nie od razu odpowiedział, a kiedy to zrobił, w jego głosie słychać było rozpacz.

– Dani.

– Co się stało z Dani? – wykrzyknęła Mickey.

– Straciłem ją.

– Jack! Co ty wygadujesz?

– Drew chce ją adoptować.

– No dobrze, a co ty na to? – Mickey odetchnęła z ulgą. Nie była to dobra wiadomość, ale przynajmniej dziecku nic złego się nie stało. – Czy ty też tego chcesz?

– Ja chcę, żeby Dani była szczęśliwa.

– A ty? – powtórzyła Mickey. – Ty się nie liczysz?

– Raczej nie.

– Chodź, usiądziemy. – Usadziła go na siedzisku, otuliła mu nogi kocem i przycupnęła obok. Nie mogła znieść malującej się na twarzy Jacka rozpacz. – Ty przecież też masz jakieś prawa.

– Jasne, że mam jakieś prawa. – Jack roześmiał się nieszczercze. – No i co z tego?

– Przecież to ty ją wychowałeś. Jesteś jej prawdziwym ojcem.

- Nie jestem. Płynię w nas ta sama krew, ale ja nie jestem ojcem Dani.
- Drew też nim nie jest.
- On ją ma na co dzień, dba o nią, wychowuje... A ja się z nią tylko bawię.
- Co ty pleciesz? Zrezygnowałeś dla niej z kariery zawodowej. Nie chciałeś, żeby była u ciebie tylko gościem. Dlaczego uważasz, że powinieneś pozwolić na to, żeby Drew ją adoptował?
- Dlatego, że oni stanowią rodzinę.
- Ty i Dani także jesteście rodziną. Taką samą jak oni.
- Nic nie rozumiesz.
- Rozumiem, że cierpisz i przeżywasz to tak, jakby twój brat umarł po raz drugi, i że kochasz Dani co najmniej tak bardzo, jakby była twoją rodzoną córką. – Łzy popłynęły jej po policzkach, ale Mickey nawet nie próbowała tego ukrywać.
- Powinienem był się tego spodziewać. – Jack ukrył twarz w dłoniach. Bał się, że za chwilę on także wybuchnie płaczem. – Ale się nie spodziewałem. Zdawało mi się, że wszyscy są zadowoleni z tego, jak się sprawy mają. A tymczasem... Jednak to wszystko ma sens. Dani zna go od zawsze. Od urodzenia doglądał ją i leczył. Drew i Stacy pokochali się właściwie od pierwszego wejrzenia. Drew trzymał się z daleka, bo byliśmy małżeństwem, ale i to się zmieniło, kiedy Stacy powiedziała mu o naszym układzie. Bardzo dużo pracowałem i niewiele czasu poświęcałem Dani. Dopiero, kiedyśmy tu przyjechali...
- Co oni ci powiedzieli? – Mickey w końcu wytarła oczy.
- Że dawno już o tym rozmawiali, tylko nie chcieli mnie do niczego zmuszać. Ja w lot łapię aluzje, więc domyśliłem się, że uznali, iż niedługo założę własną rodzinę. Zresztą oni mają rację... Jestem takim samym ojcem dla Dani, jak Drew.
- A jeśli coś się stanie ze Stacy? Co wtedy? Drew wciąż będzie się małą opiekował, chociaż to z tobą łączy Dani więzy krwi.
- Dani niedługo będzie miała brata albo siostrę. I pewnie na tym się nie skończy. Nie chciałbym rozdzielać rodzeństwa.
- Czy potrafisz sobie wyobrazić, że jesteś tylko wujkiem Dani? – Mickey położyła dłoń na zaciśniętej pięści Jacka.
- Nie mam pojęcia. Może potrafię. Pewnie i tak będę wujkiem dla wszystkich dzieci Stacy. Ale Dani jest jedynym ocalałym członkiem mojej rodziny. Jakże ja mogę ją komuś oddać? Jak mam jej powiedzieć, że nie jestem jej tatusiem? Ona ma dopiero cztery lata!
- Jeśli do tego dojdzie, na pewno znajdziesz właściwe słowa. Ale chyba nie musisz teraz podejmować decyzji? Masz jeszcze czas.

– Ja chyba już się zdecydowałem... Zanim do ciebie przyszedłem – powiedział Jack ledwie dosłyszalnym szeptem. – Drew to dobry człowiek, tylko że...

– Że co?

– Ona jest dla mnie wszystkim.

– Czy sądzisz, że po adopcji coś się między Dani a tobą zmieni?

– Na pewno. Drew i Stacy sami będą decydować o jej losie. Nikt już nie zapyta mnie o zdanie. To oczywiste, że im Dani będzie starsza, tym trudniej będzie ją wychowywać kolektywnie, szczególnie kiedy na świecie pojawią się następne dzieci. Wszystkie dzieci w rodzinie powinny być wychowywane według tych samych reguł.

– I dopiero wtedy będziesz mógł ją do woli rozpieszczać. Nie będziesz ponosił za nią żadnej odpowiedzialności.

– Ale ja chcę za nią odpowiadać! – Jack zerwał się na równe nogi i podszedł do kominka. Z całej siły zacisnął pięści.

– No to im powiedz, że się nie zgadzasz.

– Nie mogę! Naprawdę nie mogę. Powinienem się zgodzić. Dla dobra Dani.

– A gdyby zachowała twoje nazwisko? Czy wtedy byłoby ci lżej?

– Może. – Jack zastanawiał się przez chwilę. – Tak, chyba byłoby mi lżej. Pewnie i tak zmieni nazwisko, wychodząc za męża, ale przynajmniej do tego czasu będzie nazywała się tak jak mój brat. – Oparł się o ścianę. – Jestem wykończony.

– Napuszczę wody do wanny. Wymoczysz się i zaraz lepiej się poczujesz – powiedziała Mickey. – I nie kłóć się ze mną, dobrze? Teraz, dla odmiany, ja się tobą zaopiekuję.

Kiedy wróciła do pokoju, Jack wciąż stał przy kominku i patrzył w ogień. Zdjął buty, skarpetki, rozpiął koszulę i spodnie, ale wciąż stał jak wrośnięty w ziemię. Mickey żałowała, że nie zna żadnej czarodziejskiej formuły, która pomogłaby uśmierzyć jego ból. Wiedziała, że w takich razach zwykle się mówi o czasie, który goi nawet najgłębsze rany, ale Mickey wiedziała także, że słowa niewiele pomogą. Wobec tego nic nie powiedziała, tylko podeszła do Jacka i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Mam pustkę w sercu – wyznał zbolalym głosem.

– Pozwól mi ją wypełnić.

Jack spojrzał na nią po raz pierwszy tego wieczora. Przytulił Mickey do siebie i pocałował.

On mnie potrzebuje, pomyślała. Boże mój, wreszcie jestem komuś potrzebna!

Jack nie tylko jej potrzebował. Pożądał jej jak nigdy dotąd. Porwał ją w

ramiona, zaniósł na łóżko i kochał się z nią gwałtownie i namiętnie. Rozumiał, że nie powinien się w ten sposób zachowywać, bo tym razem nie da Mickey rozkoszy, ale niewiele mógł na to poradzić. Był jej głęboko wdzięczny za to, że dawała mu siebie tak wspomniałomyślnie, niczego w zamian nie żądając. Żałował tylko, że nie mogła mu wyznać miłości. Powiedzieć, że go kocha i że go potrzebuje.

Leżał obok niej kompletnie wyczerpany, a Mickey gładziła go po włosach. Dopiero teraz ocknął się naprawdę. Usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

– Boże, co ja zrobiłem! – jęknął. – Jak mogłem cię tak niecznie wykorzystać!

– Nie wykorzystałeś mnie. – Mickey próbowała go uspokoić. – Nawet nie wiesz, ile mi dałeś. Wreszcie czułam się komuś potrzebna. Słowo ci daję, że to ważniejsze niż orgazm.

Czy to możliwe? myślał rozgorączkowany Jack. Czy rzeczywiście są na świecie ludzie, którzy potrafią bezinteresownie coś dawać? A jeśli i Mickey potem ode mnie odejdzie? Tak samo jak Dan, Stacy i Dani? Nie, tego bym już nie wytrzymał.

– Nie możemy dłużej tak żyć – powiedział nieoczekiwanie dla samego siebie. – Nie chcę takiego związku na przychodne. I wiesz, co? Chciałbym, żebyśmy się znowu śmiali, tak jak na początku. Ostatnio zachowujemy się śmiertelnie poważnie.

Mickey zapragnęła mu opowiedzieć o tym wszystkim, co ją tego dnia spotkało. O tym, jak trzymała w ramionach niemowlę i nagle zdała sobie sprawę, że kocha Jacka. A także o tym, jak bardzo chciałaby z nim przeżyć całe swoje życie.

– To z mojego powodu Stacy podjęła taką decyzję – zaczęła Mickey. – Ona uważa, że my... No wiesz.

– Wiem.

Tych kilka centymetrów, jakie ich od siebie dzieliły, nagle stało się głęboką przepaścią. Jack otoczył się murem, broniąc do siebie dostępu. Nawet dla Mickey nie chciał zrobić wyjątku.

– No to może rzeczywiście się pobierzmy. – Mickey mimo wszystko spróbowała się do niego zbliżyć.

Jack spojrział na nią. Z niedowierzaniem? Może raczej z obrzydzeniem?

– Tego rodzaju decyzji nie należy podejmować pochopnie – powiedział, patrząc na nią, jakby na coś czekał.

– Kocham cię. – Mickey szybko domyśliła się, o co mu chodzi.

Jack nie wierzył własnym uszom. Teraz, kiedy znalazłem się na samym dnie, ona nagle wyznaje mi miłość? myślał rozgoryczony. Czy naprawdę uważa, że jestem taki naiwny? Gdyby to była prawda, to nie stałaby tak daleko, tylko by mnie

dotykała albo by się do mnie przytuliła. A ona nawet się nie uśmiecha. To nie jest żadna miłość, tylko zwyczajna litość.

– Wracam do Chicago – powiedział. Nawet siebie samego tym oświadczeniem zadziwił.

– Dlaczego? – wyszeptała pobladła jak płótno Mickey.

– Mówiłem ci, że przyjechałem tu, żeby coś postanowić. I właśnie postanowiłem. Bez Dani życie tutaj nie ma dla mnie sensu.

– Masz mnie... – powiedziała tak cicho, że trudno ją było usłyszeć.

Jack udał, że nie usłyszał jej słów. Wyszedł, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Dlaczego chcę ją zostawić? myślał gorączkowo. Dlaczego właśnie teraz, kiedy chciała mi dać wszystko, o czym marzyłem? Pewnie dlatego, że jej nie wierzę.

Mickey stała jak wrośnięta w ziemię. Skrzyżowała ręce na piersi. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że Jack naprawdę ją porzucił. W głębi duszy była przekonana, że tylko wyładował na niej swój gniew i dojmujący ból.

Postanowiła dać mu trochę czasu, żeby mógł sobie wszystko spokojnie przemyśleć.

Rozdział 13

– Halo?

Mickey słuchała drogiego jej głosu, który kilka razy powtórzył to samo słowo. Po chwili Jack się rozłączył, jakby wiedział, że to Mickey do niego dzwoni, i chciał się jej jak najprędzej pozbyć.

Wściekła na siebie, rzuciła słuchawkę. Od ich ostatniego spotkania minęły cztery dni. Cztery puste i ponure dni. Mickey uważała, że Jack miał dość czasu, aby się nad wszystkim zastanowić i podjąć ostateczną decyzję.

Tylko w jednej sprawie miał rację, myślała, przechadzając się po pokoju. Wszystko stało się takie poważne. Przestaliśmy się śmiać. Ale czy jest na to jakaś rada?

Zatrzymała się przy oknie. Zamyśliła. Potem uśmiechnęła się do siebie. Wzięła torebkę, kluczyki do samochodu i wyszła z domu.

Furgonetka była wypełniona po brzegi zakupami. Mickey pozbyła się sklepowego wózka i już miała zamiar wsiadać do samochodu, kiedy usłyszała, że ktoś ją woła.

– Mickey! Mickey, wiesz, co się stało? – Dani rzuciła się jej na szyję.

– Co takiego, Dani? – Mickey podniosła dziewczynkę do góry i spojrzała na Stacy, która też już zdążyła do niej podejść.

– Tatuś jest moim wujkiem! Ja nigdy nie miałam wujka.

– To świetnie. – Mickey z trudem wydobyła z siebie głos.

– Wujek Jack miał brata i to on był moim prawdziwym tatusiem. Ale on umarł i mój wujek go zastąpił. A teraz mój tata już zawsze będzie moim tatusiem.

– A wujek Jack już na zawsze zostanie twoim wujkiem.

– No! Miałam dwóch tatusiów. A teraz mam i tatusia, i wujka. Mam prawdziwego wujka Jacka!

Wujek Jack. Mickey łązy zakręciły się w oczach, gdy Dani powtórzyła te dwa słowa, jakby chciała wypróbować ich brzmienie i polubiła to, co oznaczają.

– Co z nim? – Mickey spojrzała na Stacy.

– W porządku. Ale nie jest mu łatwo.

– Ale dlaczego teraz, Stacy?

– Ty chyba wiesz, dlaczego. – Stacy mocno trzymała Dani za rączkę, żeby dziewczynka nie mogła biegać po parkingu. – Zresztą to i tak kiedyś musiało się stać.

– Nie należało się opierać na przypuszczeniach – powiedziała enigmatycznie Mickey. Nie chciała, żeby Dani zrozumiała, o czym rozmawia z jej mamą, ale musiała powiedzieć Stacy, co o tym myśli. – I na dodatek wciągnęliście w to mnie. Jestem jeszcze jedną osobą, którą stracił. Nawet nie wiesz, jak się z tym czuję.

– Ja tylko chciałam, żeby był szczęśliwy...

– Czyim kosztem?

– Chcesz mi powiedzieć, że nic się między wami... Że nie jesteście... – Stacy była kompletnie zaskoczona. – Czy naprawdę aż tak się pomyliłam? Myślałam... – Chwyła Mickey za rękę. – Przepraszam, Mickey. Zdawało mi się, że dobrze zrobiłam. Czy można jeszcze coś naprawić?

– Naprawdę tego chcesz?

– Jasne.

– Jest pewien sposób... – Mickey się do niej uśmiechnęła. – Powiem ci, co wymyśliłam.

– Ukrywasz się, czy co? – zapytał Scott. Obaj z Jackiem rozgrzewali się przed towarzyskim meczem, który sobie zorganizowali na zakończenie sezonu. – Stacy mi mówiła, że rozmawiała z Mickey. Podobno nawet do niej nie dzwonisz.

Jack w milczeniu odbił rzuconą przez Scotta piłkę.

– Ta dziewczyna pasuje do ciebie jak ulał – ciągnął nie zrażony jego milczeniem Scott.

Jack ciągle milczał.

– Ma tupet, więc jakoś sobie z tobą poradzi, i lubi sport. Na pewno przy niej nie zdiadziejiesz.

Jack wciąż nie odpowiadał.

– Za tydzień kończysz czterdzieści lat. Warto byłoby się wreszcie ustatkować.

– Daj mi spokój – warknął Jack. – Wiem, kiedy mam urodziny, i zdaję sobie sprawę z wad i zalet Mickey. Nikt nie jest doskonały.

– Ty też nie?

– Ja przede wszystkim.

Skończyli rozgrzewkę i usiedli na ławce. Jack znów przypomniał sobie ostatnie spotkanie z Mickey. Ostatnio zresztą o niczym innym nie mógł myśleć. Przez dwa miesiące ją uwodził, a jednak nie wykrzesał z niej niczego poza wspaniałym seksem. Naprawdę wspaniałym, ale to mu nie wystarczało. I nagle, kiedy się załamał, ona mu oświadczyła, że go kocha. Nic dziwnego, że jej nie uwierzył. Litowała się nad nim i dlatego mu to powiedziała. Tak jak chciała, wreszcie stała

się silna i niezależna. Nikogo nie potrzebowała. Jack pragnął się dla niej poświęcić, tymczasem to Mickey poświęciła się dla niego.

I o to chodzi! Jacka nareszcie olśniło. Zraniła moją męską dumę. Oświadczyła mi się, zanim ja to zdążyłem zrobić. A ja tak chciałem, żeby to się odbyło przy świecach. Nawet pierścionek kupiłem. Wszystko mi zepsuła.

– Stacy widziała, jak Mickey brała ze sklepu puste pudła. Wygląda na to, że się wyprowadza – rzucił od niechcenia Scott.

– Dokąd? – Jack wreszcie się ożywił.

– Skąd o tym mogę wiedzieć. – Scott wzruszył ramionami.

– Podpisała umowę – prychnął Jack.

– No i co z tego? Przywiążesz ją? Zachowujesz się jak dziecko.

A niech to, zirytował się Jack. Scott ma chyba rację. Od tygodnia chodzę po domu i rozpamiętuję grzechy, których ona nie popełniła. Mam już nawet przygotowaną mowę na wypadek, gdybym ją spotkał. Pewnie by mnie zabiła, gdyby tę mowę usłyszała. Albo raczej wyśmiała.

Ich drużyna wygrała pierwszą zmianę. Zaczęła się druga. Pierwsza piłka poleciała w stronę Jacka. Złapał ją z gracją i odrzucił na pierwszą bazę.

– Świetnie ci idzie, Ogonku!

Rozejrzał się dookoła. Nigdzie jej nie było. Przesłyszałem się, pomyślał i skoncentrował się na grze.

– Dobry jesteś, Ogonku! – usłyszał, kiedy w trzeciej zmianie w najlepszym stylu zdobył dwie bazy.

Tym razem dokładnie przeszukał wzrokiem trybuny, ale i tak jej nie znalazł. Pokręcił głową. Co ta przekłeta wyobraźnia potrafi zrobić z człowiekiem, pomyślał.

Miał jeszcze trzy udane akcje, ale nie usłyszał już żadnej pochwały. Kiedy po meczu wychodził ze stadionu, zauważył leżącą na ławce czapkę z napisem L. A. Seagulls. Wyglądała jak wypisane wielkimi literami zaproszenie.

Jack nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie znajdzie się w domu. Postanowił, że jak tylko się wykąpie i przebierze, zadzwoni do Mickey i zaprosi ją do siebie na kolację. A po kolacji się jej oświadczy. Tak postanowił. Zwykła baseballowa czapeczka czyniła cuda.

– Ki diabeł? – zaklął, wciskając pedał hamulca.

Całe podwórko przed jego własnym domem usłane było papierem toaletowym. Każde drzewo, każdy krzaczek miał na sobie powiewającą na wietrze różową girlandę.

Z trudem hamując wściekłość, wstawił samochód do garażu. Przeklinał, na czym świat stoi. Niedawno potraktowano w ten sposób jego sąsiadów, którzy mają trójkę nastoletnich dzieci. Ale Jack nikomu nie dał powodu do takiego „wyróżnienia”.

Zatrzasnął drzwi i zaczął zbierać przekłety papier. Po półgodzinie podwórko było czyste. Mógł wreszcie zrealizować swój plan. Wykąpał się, ubrał, nakrył stół na dwie osoby i już miał podejść do telefonu, kiedy spojrzał w okno.

Dopiero co wysprzątane podwórko znów pełne było różowych bibulek. Jack wypadł z domu jak bomba. Zbierał papier i upychał go w plastikowych workach na śmieci. Kiedy zdawało mu się, że już wszystko zebrał, zauważył różową wstęgę prowadzącą na ścieżkę, którą szło się do domku Mickey. Klnąc, na czym świat stoi, podążył za papierowym śladem.

Furgonetka Mickey zniknęła. Jack patrzył na puste podwórko. Nie rozumiał, jak mógł aż tak się pomylić. Czapeczka nie była zaproszeniem, tylko pożegnalnym prezentem.

Wyjechała, pomyślał zrozpaczony. A ja nie zdążyłem jej powiedzieć, jak bardzo ją kocham. Za długo czekałem. Nic dziwnego, że się znudziła. Ależ ze mnie idiota! Tak sobie zmarnować życie...

Papier toaletowy wisiał także na klamce. Jack go zdjął. Poruszył klamką i drzwi się otworzyły. Zajrzał do środka. Tam też leżała wstęga różowego papieru.

– Najwyższy czas, Ogonku.

W mieszkaniu nie było nic oprócz pudeł. Mickey leżała na siedzisku przy wielkim oknie. Miała na sobie zieloną, wyjściową sukienkę. Wstęga papieru toaletowego owijała jej talię, jakby Mickey była znajdującym się na końcu tęczą garnkiem złota.

– To ty ustroiłaś moje podwórko papierem? – spytał Jack podniesionym tonem.
– Gdzie się podział twój samochód?

– Fajnie wyglądasz, kiedy się złościś – uśmiechnęła się do niego. – A samochód zostawiłam na ulicy. Pomyślałam sobie, że nie przyjdiesz, jeśli stwierdzisz, że jestem w domu.

– No to się pomyliłaś. – Jack podszedł bliżej. – I tak bym przyszedł. Znalazłem twoją czapkę.

– Już się zaczęłam denerwować. Powinieneś się odezwać co najmniej dwie godziny temu.

– Miałem zamiar do ciebie zadzwonić, ale jak przyjechałem do domu, okazało się, że mam podwórko udekorowane papierem toaletowym. Jeszcze nie mogę

uwierzyć, że ty to zrobiłaś.

Mickey usiadła. Modliła się, żeby Jack nie zauważył, jak bardzo jest zdenerwowana.

– Chciałam mieć pewność, że do mnie przyjdiesz – powiedziała, zbierając się na odwagę. Nie mogła sobie pozwolić na to, żeby go znowu stracić. – Gdybyś przypadkiem nie zauważył czapki, to papier na pewno by cię tu doprowadził. Nie przyszło mi do głowy, że najpierw zajmiesz się sprzątnięciem.

– Nie mogłem cię zaprosić na kolację przy świecach, dopóki za oknem panował taki bałagan.

Jack przykucnął obok niej. Patrzył na nią z czułością. Mickey zamknęła oczy, kiedy położył ręce na jej udach.

– Wyprowadzasz się? – zapytał.

Nie odrywając oczu od jego twarzy, Mickey skinęła głową. Był zaskoczony.

– Dokąd?

– Chciałam spróbować szczęścia w Chicago.

– W Chicago? – powtórzył jak echo Jack. Był zdruzgotany. Mickey nie chciała przedłużać jego cierpień.

– Ale teraz myślę, że lepiej mi będzie w dużym domu – powiedziała, tuląc go do siebie. – Naprawdę myślałaś, że oddam bez walki swoją wielką miłość?

– Ależ ja jestem głupi! – westchnął z ulgą.

– Tak się bałam, że już nigdy nie będę się mogła do ciebie przytulić.

– Kocham cię, trenerze – powiedział Jack głośno i z zapalem.

– Ja też cię kocham. Ogromnie za tobą tęskniłam. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię potrzebuję.

– Ty? Ty mnie potrzebujesz? – Jack nie posiadał się ze zdziwienia. – Przecież ty jesteś silna i samodzielna...

– Pewnie, że taka jestem. – Mickey pogłaskała go po policzku. – Sama płacę swoje rachunki, potrafię zmienić koło w samochodzie i w ogóle mogę żyć sama. Ale nie chcę. Pragnę twojej miłości. Potrzebuję jej jak powietrza. Kocham cię i zawsze będę cię kochać.

A więc jednak ona mnie potrzebuje, pomyślał uszczęśliwiony Jack. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Wziął ją w ramiona i mocno, namiętnie pocałował.

– Zostaniesz moją żoną, Mickey? – zapytał.

– Jasne że tak! – Uradowana, zarzuciła mu ręce na szyję.

– Jak w ogóle mogłeś myśleć inaczej? Tylko muszę cię uprzedzić, bo może ci to nie będzie odpowiadało, że będę najbardziej nadopiekuńcza matką na całym

świecie. Co się stało? Czemu tak mi się przyglądasz?

– Naprawdę chcesz mieć dzieci, Mickey? – Jack odsunął ją od siebie, chcąc lepiej przyjrzeć się jej twarzy.

– Oczywiście. A co ty myślałeś? Że nie dam ci tego, czego najbardziej pragniesz? – Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Dopiero po chwili zrozumiała, ile chciał dla niej poświęcić.

– Ożeniłbyś się ze mną nawet wówczas, gdybym nie chciała mieć dzieci?

– Pewnie. Chcę mieć ciebie. Na każdych warunkach.

– A ja chcę mieć ciebie i twoje dzieci. – Mickey znów się do niego przytuliła. – Wczoraj obejrzałam sobie kasetę z Barrie. Ale tym razem nie patrzyłam na nią, tylko na moją rodzinę. Widziałam radość na swojej twarzy, szczęście mojej matki i łzy w oczach mojego ojca. Patrzyłam, jak moi bracia robili do niej miny. Ale Randy’ego z nami nie było. Kilka razy mignął gdzieś w tle. Czasami to on nas wszystkich filmował, ale nie zawsze. Na pewno też kochał Barrie, ale nigdy nie widziałam w jego oczach takiej czułości, jaką widzę w twoich, kiedy patrzysz na Dani. Albo na mnie.

– Kocham cię, Mickey – powtórzył Jack i delikatnie ją pocałował. – A teraz zamknij oczy.

Zdjął z szyi łańcuszek, na którym od tygodnia wisiał zaręczynowy pierścionek. Wziął Mickey za rękę i wsunął jej na palec złote kółko.

– Już możesz patrzeć – pozwolił łaskawie.

Mickey otworzyła oczy. Na jej palcu połyskiwał złoty pierścionek z perłą szlifowaną w kształt... piłki baseballowej.

– Kocham cię, Ogonku – wyszeptała Mickey ze łzami w oczach. – Kocham cię! Kocham! Kocham!

EPILOG

– Nie wiesz, że trzeba najpierw zapukać, Jessie?

– Nie trzeba.

– Trzeba.

– Ale nie dzisiaj. Tatuś mi powiedział.

Jack nie otwierał oczu. Rozmowa dzieci strasznie go bawiła. Trzyletnia Jessie, o całe siedem minut młodsza od swego brata Erica, na paluszkach podeszła do kołyski i zajrzała do środka. Erie zrobił to, samo, choć widać było, że wolałby obudzić rodziców.

– Takie same bliźniaki jak my – wyszeptała Jessie teatralnym szeptem.

Erie nie wiedział, czy zamiast podziwiać braciszka i siostrzyczkę, nie lepiej wskoczyć do łóżka rodziców i przytulić się do mamy, która dopiero wczoraj wróciła do domu.

– Dzień dobry, synku. – Jack postanowił skrócić męki Erica. Zazwyczaj to on był ostrożny. Jessie uwielbiała eksperymentować, a Erie ją mitygował.

Chłopczyk wdrapał się na łóżko. Przytulił się najpierw do taty, a potem do mamy.

– Cześć, mamusiu. – Chłopczyk uśmiechnął się niepewny, czy dobrze zrobił, że ją obudził.

– Przyszedł mój duży synek! – Mickey go pocałowała.

– Nie musieliśmy pukać – oznajmił Erie. – Dziś jest święto, bo wróciłaś ze szpitala.

– Dla mnie to też wielkie święto. Bardzo się stęskniłam za tobą, za Jessie i za tatusiem.

– Mamusiu! Mamusiu! – Jessie także rzuciła się na matkę. Przestraszone hałasem niemowlę zapłakało. Jack wstał z łóżka i podszedł do kołyski. Jessie podreptała za nim.

– To jest Allie czy Mark? – zapytała.

– Allie.

– A mogę ją potrzymać?

– Pewnie. Przygotuję ci wygodne miejsce.

– Tylko musi być dużo poduszek – pouczała ojca Jessie. Mickey patrzyła, jak Jack układa Allie w objęciach starszej siostry. Po chwili niemowlę rozplakało się na dobre.

– Ona jest głodna. – Mickey wzięła maleństwo od starszej córeczki, której już

się znudziło niańczenie wrzeszczącej siostry.

– Idźcie teraz nakarmić Pchełkę – powiedział Jack do bliźniaków. – Babcia Ginny zaraz zawoła was na śniadanie.

– A potem pomożemy babci upiec tort urodzinowy dla Dani. – Jessie aż podskoczyła z uciechy.

Dzieciaki wybiegły z pokoju. Jack patrzył z czułością, jak Mickey karmi małą Allie piersią. Ledwie jednak dziewczynka zamilkła, Mark dał znać rodzicom, że też się już obudził.

– Dzień dobry, Mark. – Jack wyjął go z kołyski i usiadł na łóżku. – Role się odwróciły. Teraz dziewczynka jest niecierpliwa, a chłopiec spokojny.

– Ciekawe, czy będą miały jasne włosy, jak Jessie i Erie, czy takie ciemne, jak twoje. – Mickey musnęła palcami gęste włosy męża.

Nie nosił już ogonka. Obciął włosy przed ślubem. Uznał, że kryzys wieku średniego ma już za sobą, więc cała reszta też powinna wrócić do normy.

Spojrzenie Mickey powędrowało do wiszącego na ścianie zdjęcia Barrie.

– Allie jest do niej podobna – powiedział Jack, jakby odgadł jej myśli.

– Miałaby teraz siedem lat. Zupełnie nie umiem sobie tego wyobrazić. Zawsze będę ją pamiętała taką maleńką. Jak Allie. – Mickey uśmiechnęła się do Jacka. – Jak to dobrze, że jesteście. Teraz już żadne z nas nigdy nie będzie samo. I mamy dla kogo żyć. – Poglaskała męża czule po policzku. – To jest moje szczęśliwe zakończenie, Jack. A ty jesteś moim księciem z bajki.

Ponad głowami swych dzieci pocałowali się na dzień dobry, tak jak to robili codziennie od prawie czterech lat.